

LAGÓW '86

Tragedia na piywalni

Wyznania zuzlowca Olszaka

ILE kosztuje taki pogrzeb?

sceny miłosne

madododrze

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 650

ZIELONA GÓRA 2 XI — 15 XI 1986 R.
ROK XXX NR 22 [627] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

NA KWAŚNYM CHLEBIE

Jerzy Nogieć

Piekarz twierdzi, że w sercu każdego mężczyzny mieszka bohater i budzi się do czynu przynajmniej raz w jego życiu. Sam tego doświadczył i może powołać się na sto innych, znanych sobie przykładów. Także Zygmunta Falfusa właśnie.

Bohater mieszkający w sercu Zygmunta Falfusa obudził się, gdy ten siedział na miedzy, obmacywał napuchnięte miejsca po kiju gospodarza i oszukiwał grające marsza kieszki surową marchwią. Bohater rozprostował ramiona i podpowiedział Zygmuntovi Falfusowi, „Rzuć ty, Zyga, tych swoich gospodarzy i rusz w świat, poszukaj innego miejsca na ziemi, gdzie docenią twą miłość do zwierząt, twoje muskularne ręce i brak zainteresowania dobrami doczesnymi. Rzuć ty ich, Zyga, rzuć, znajdź ludzi którzy będą z tobą „rozmawiać słowem, a nie kijem, a i przy stole posadzą...“

Sama ta myśl sprawiła, że Falfus zatrzęsał się z emocji. Świat w jego wyobrażeniach ma dwa końce. Jeden tu w Przyborowie, drugi hen, pod wysokimi górami, dokąd z gospodynią, zwaną Czarną Panią, wozili owoce na sprzedaż kożusznikom. Bohater był coraz natręciwszy, więc Zygmunta Falfus myślał coraz intensywniej. Marszczył czoło, aż przypomniał sobie, że tam, na tym drugim końcu świata, namawiano go, aby zdał się na służbę przy owcach. Przypomniał sobie, jak to gospodyni kupowała bilety; „dwa do Nowego Sącza“ i tak to ten świat migał mu przez okna wagonów kolei żelaznej. Decyzja zapadła i bohaterowi pozostało tylko kierowanie krokami Falfusa.

Piekarz znalazł się w Słońsku już w chwili — gdy jak się to mówi — polska władza stawiała tu swą nogę. Piekarze pragnęli natychmiast wypiekać chleb. A wtedy piec chleb znaczyło również szukać zboża, szukać młyna, wymieniać bimber na mąkę. Więc Piekarz jeździł po całej gminie i hen dalej. Dlatego znał życie, losy, niemal wszystkich rodzin w promieniu wielu kilometrów. Ich sprawy także.

Zygmunta Falfusa obumarli rodzice, gdy miał 15 lat i chodził jeszcze do szkoły. Ciężko to przeżył, przechorował i rzuciło mu się to trochę na mózg. Może, gdyby trafił do szpitala, dałoby się to chorobom wyliczyć, ale — aby było inaczej, — o to zadbały „dobre ciocię“. Hurmem rzuciły się opiekować sierotą. Wierzyć, nie wierzyć, ale dziś na wsi parobek to rzecz cenna, a jeśli to jest silny fizyczny przygłup, to już istny skarb. Karmić go można było jak, ubierać w byle co, ścieścić wyroko w oborze, nie tylko nie płacić tego najmniej tysiącza za dniówkę, ale jeszcze zabierać jego rentę — wyjaśnia Piekarz. — Biegi po Zygmunta wygrała Czarna Pani, najbogatsza rolniczka w gminie. Żeby nie było wątpliwości, jaka jest dobra, charytatywna, robiła ze swego parobka głuptaka większego niż był faktycznie. Opinia wsi, która w wielu sprawach była okrutna, spokojnie sankcjonowała zależność Czarna Pani — Falfus: krótko opiniuje Piekarz.

Gdy się podejmie decyzję, nogi niosą same. Zyga Falfus ruszył opłotkami do domu gospodarzy. Nie po to, aby pakować manatki, bo majątek miał na sobie, znoszone portki po synu gospodarzy, ale musiał mieć pieniądze na bilet. Sięgnął więc do szuflady, schował do kieszeni kilka papierków i cichcem pomaszzerował ku stałej żelaznej kolei. Sam się trochę

zdziwił, jak to gładko kupił bilet: do Nowego Sącza, jak to — jak mu zawsze kazowała gospodyni — znalazł sobie miejsce przy oknie.

Koła stukaly tu—tu—tuk, a bohater w sercu powtarzał: brawo Zyga, brawo Zyga...

Po pewnym czasie zaczął go jednak trapić niepokój. Pamiętał, że jeżdżąc z gospodynią, przesiadali się z pociągu, a on zupełnie nie mógł sobie uświadomić gdzie, kiedy, na jakiej stacji. Zyga miałby jeszcze większe powody do zmartwienia, gdy uświadomił sobie, że istnieje telegraf. A telegraf już wystukiwał po drutach, że z Przyborowa uciekł złodziej wielu tysięcy i zegarka. I opisanie było Zygmunta. Łapcie złodzieja, szło po drutach przez kazanie Gospodarze zrazu nie zorientowali się, że Zyga opuścił ich miłośnierny dom, choć nie stawiał się do wieczornego obrządku. Bywało już, że gdy mąż Czarnej Pani zbyt gorliwie przepuścił go przez kije, uciekał w mokradła lizać siniaki, no, ale gdy zauważono ubytek pieniędzy w szufladzie... Larum podniosło się okrutne. Nie o te paręset złotych. Strata Zyg! darmowego robota, znaczyła tyle, co padnięcie połowy mlecznego stada.

Bohater mieszkający w sercu Zygmunta Falfusa był całkiem nieprzydatny, jeśli chodzi o rozkłady jazdy, więc ten nie wiedząc czemu, wysiadł w Opolu, gdzie trochę zagubionego obdartusa wypatrzyło czujne oko milicjanta. W dwa słowa było wiadomo że Falfus to jest Falfus. Telegraf w drugą stronę stuk—puk: mamy uciekiniera.

Syn gospodarzy w te pędy wsiadł do pociągu i ruszył na ratunek Zyg. Owszem, na ratunek, bo ten pod oskarżeniem o kradzież mógł trafić za kratki, albo co gorsza, do szpitala dla nerwowo chorych, a wówczas byłby dla Czarnej Pani może na zawsze stracony. A Zyga miał wartość tylko wówczas, gdy siał, wyrzucał gnój, karmił inwentarz, budził rano koguty i kładł się spać, gdy krowy już chrapały. Zygmunta Falfus stał się znowu „odzyskanym członkiem rodziny“ i z tej emocji gospodarz nawet zapomniał o stylisku od łopaty, które sobie nagotował na przyjęcie uciekiniera.

Bohater w sercu Zyg skulił się, zamilkł, snadź zawstydzony niepowodzeniem.

Gdyby Falfus od Czarnej Pani nie uciekł, prawdopodobnie nie było by nigdy sprawy Falfusa. Opinia wiejska — dowodzi Piekarz — sankcjonuje sta tus quo. Nie byłoby też może sprawy Falfusa, gdyby w słońskiej gminie nie wybuchła sprawa gęsi. Beczka soli trzeba zjeść, aby rozszyfrować wszystkie panujące tu układy, trzeba zacząć od historii, aby je choć trochę zrozumieć.

Zaraz po wojnie — opowiada Piekarz — nad mokradłami osiadli dwa rody — nazwijmy je — Ipszyckich i Pipszyckich. Oba znad Stochodu. Tylko, że pierwsi zaliczali się do szlachty i długo po osiedleniu przybija



Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

O rozrywce skalkulowanej

Z dyrektorką Estrady Zielonogórskiej mgr Mirosławą Jodziało-Antoniewicz rozmawia Halina Ańska

— Co słyhać w eleganckim świecie?
— Pani sobie żartuje. A ja myślałam, że najpierw spróbujemy razem wyjaśnić, dlaczego Estrada, która robi o wiele więcej przedstawień i ma dużo większą widownię, niż inne podobne instytucje, jest traktowana mniej poważnie, niż one, po prostu — gorzej.
— Przez kogo?
— Choćby przez dziennikarzy. Jeśli napiszą o Estradzie to najczęściej źle o jakimś konkretnym przedstawieniu. Nie ma informacji prasowej o naszej działalności. Od lat brakuje recenzji. Prasa nas nie lubi.
— Zastanawiam się nad tym, co Pani powiedziała i dochodzę do wniosku, że istotnie, może to tak wygląda. Nawet w „Nadodrze“, które parokrotnie poświęciło Estradzie sporo miejsca, tytuły mówią same za siebie. „Estrada rzeka mulista“ — był taki reportaż koleżanki, a potem mój „serial“ pt. „Estrada radość i łzy“. Na Estradę patrzy się okiem widza! A widz mówi, że coraz drożej macie w kasie a coraz gorzej na scenie.
— Nie zgadzam się! Bilety — tak, drożej, ale też droższe wszystko: telefon, transport, przejazdy, opa, światło itp. Rosną koszty imprez estradowych, muszą więc rosnąć ceny biletów. Może nie wszyscy wiedzą, że Estrada sama się finansuje, to znaczy

sama musi na siebie zarobić, na swoje utrzymanie i działalność oraz na płace dla pracowników. Nie otrzymujemy innych pieniędzy, poza wpływami z przedstawień i koncertów. Natomiast nieprawdą jest, jakoby obniżył się poziom artystyczny i stopień atrakcyjności tego, co robimy. Jest odwrotnie. Ponieważ im droższe są bilety, tym trudniej o widza, staramy się o tego widza, przedstawiając mu jak najatrakcyjniejsze i najbardziej różnorodne pozycje, na dobrym, krajowym poziomie.
— W jaki sposób dochodzicie do tego, że bilet musi kosztować tyle — a nie mniej, ani więcej?
— Sporządza się kalkulację. Cena biletu wynika z sumy kosztów, podzielonej przez ilość miejsc.
— Jak wygląda taka kalkulacja?
— Na przykład: honoraria wykonawców — 6 tysięcy zł, do tego akompaniament, obsługa techniczna, kwatery, podatek od funduszu plac. Łączny koszt — 9.799 zł. Dolicza się 20 procent tzw. kosztów ogólnozakładowych, obejmujących delegacje, rozmowy telefoniczne, przejazdy itp. oraz uposażenie pracownika, który się tym zajmuje. W sumie impreza kosztuje około 11 tysięcy zł. Jest to program varie dla gastronomii.
— Czyli granie do kotleta. Co się mieści w takim programie?

— Striptiz, duet taneczny i piosenkar ka. To nasza działalność uboczna, która musimy prowadzić, aby zarobić na imprezy bardziej wartościowe.
— Rozumiem. Chciałabym też zająć się do kalkulacji typowego koncertu estradowego, czy można?
— Proszę bardzo. Tytuł „Piosenka jest dobra na wszystko“, wśród wykonawców Mirosława Kowalak, Adam Zwierz, Roman Gerczak, Bogdana Zagórska, Bolesław Gromnicki, Stanisław Mikulski, Felicjan Andrzejczak i inni. Honoraria wykonawców — 65 tysięcy złotych, plus obsługa techniczna, podatek i nasz narzut. Łączny koszt wynosi 106 tysięcy zł przy pierwszym przedstawieniu i 95 tysięcy przy drugim.
— Tanie! Zakładając, że na każdy koncert sprzedanych będzie kilkadziesiąt biletów, występ nie powinien kosztować więcej, jak 120—150 złotych.
— Ale kosztuje więcej. Tę imprezę kupiła od nas Estrada Śląska w Katowicach, płacąc nam zgodnie z kalkulacją. Chcąc imprezę pokazać publiczności, Estrada Śląska musi jeszcze wydać sporo pieniędzy na organizację koncertów, reklame, transport, kolportaż biletów. Musi ponieść bardzo wysokie koszty wynajmu sali, zapłacić za prąd, obsługę dyżury strażaków, elektryków, szatniarzy, bileterów. Wszystkie te razem zliczone, dodane do sumy naszej kalkulacji i podzielone przez ilość miejsc w salach, gdzie koncerty będą grane, da cenę jednego biletu.
— Więc gdybyśmy mieli większe sale, bilety byłyby tańsze?
— Właśnie. Koncerty dajemy zarówno w amfiteatrze, gdzie widownia liczy około 5 tysięcy miejsc, jak w Hali

Ciąg dalszy na str. 4

Ciąg dalszy na str. 4

Opinie i refleksje

Ludzkość na rozstajnych drogach

Stormuowanie to znajduje się w liście sekretarza generalnego ONZ Javiera Pereza de Cuellara, skierowanego do 41 sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych obradującej w Międzynarodowym Roku Pokoju. Właśnie z tej okazji sekretarz generalny ONZ skierował swe posłanie do obecnej sesji tego światowego parlamentu narodów. W dalszej części wspomnianego orędzia czytamy: *„Ścieżka prowadząca ku przyszłości pozostaje otwarta w zależności od wyboru, którego trzeba jeszcze dokonać. W miarę jak nadaje się wydatki na cele militarne, w miarę tworzenia coraz doskonalszych broni i technologii, groźba nuklearnego zniszczenia osiągnęła stan krytyczny”*.

Aby właśnie zapobiec temu stanowi krytycznemu i zapewnić pokojową przyszłość światu, kraje socjalistyczne wniosły na porządek obrad obecnej sesji ONZ projekt rezolucji przewidujący utworzenie powszechnego systemu bezpieczeństwa międzynarodowego. W projekcie tym czytamy, co następuje: *„Zgromadzenie Ogólne NZ używa wszystkie państwa do skoncentrowania wysiłków na rzecz zagwarantowania równego stopnia bezpieczeństwa dla wszystkich i we wszystkich sferach stosunków międzynarodowych i wniesienia w tym celu swojego wkładu w opracowanie dokumentu, zawierającego podstawowe zasady powszechnego systemu bezpieczeństwa międzynarodowego”*.

Rzeczywiście, nie ma chyba bardziej istotnej dla ludzkości sprawy, aniżeli powołanie do życia takiej struktury stosunków międzynarodowych, która gwarantowałaby trwałe i powszechne bezpieczeństwo. Cytowany przeze mnie na wstępie list sekretarza generalnego ONZ wspomina m.in. o stałym wzroście wydatków na cele militarne. Istotnie, kładą się one straszliwym ciężarem na barki wszystkich narodów świata.

Ograniczając wydatki na potrzeby militarne, ileż można by przeznaczyć środków na walkę z głodem, chorobami, eksplozją demograficzną w Trzecim Świecie, dewastacją środowiska naturalnego i innymi tego typu zagrożeniami dla ludzkości!

Oczywiście, że najgroźniejszym z tych zagrożeń jest ewentualność użycia broni nuklearnej. Jak poinformowała Światowa Organizacja Zdrowia, wybuch bomby wodorowej o mocy 1 megatony (tj. równoważnik 1 miliona ton trójtrotolu) spowodowałby tak straszliwe skutki dla ludności zamieszkującej obszar dotknięty eksplozją, że nie byłaby ich w stanie opanować służba zdrowia, najbardziej nawet rozwiniętego kraju. A tym czasem w magazynach mocarstw nuklearnych nagromadzonych zostało 6000 kółek zniszczenia o sile 14 tys. megaton! Przypomnijmy, że bomba, która spadła na Hiroszimę, posiadała zaledwie ułamek mocy 1 megaton, a spowodowała przecież śmierć lub kalectwo setek tysięcy ludzi.

Nie ulega więc wątpliwości, że najdonioślejszym zadaniem naszej epoki jest uchronienie ludzkości przed groźbą katastrofy nuklearnej i powołanie w tym celu trwałego systemu bezpieczeństwa międzynarodowego. Na tym właśnie polega waga wniesionej na forum Zgromadzenia Ogólnego bieżącej sesji ONZ konkretnej propozycji państw socjalistycznych. W skomplikowanym, pełnym sprzeczności, jednakże wzajemnie uzależnionym i w znacznym stopniu jednolitym współczesnym świecie — bezpieczeństwo jest niepodzielne. Może być ono tylko powszechne i jednakowe dla wszystkich.

Taką właśnie wszechstronną panoramę pokoju zarysował podczas spotkania w Reykjaviku Michał Gorbaczow. Realizacja tych koncepcji oznaczałaby zasadniczy zwrot w dziejach dzisiejszego świata i przyszłych pokoleń. Odpowiadają one całkowicie dotychczasowym kanonom radzieckiej polityki zagranicznej, która od początku istnienia Kraju Rad przepojona była zawsze leninowską ideą podniesienia pokojowego współżycia narodów do rangi najważniejszego celu ludzkości. Pamiętajmy, o tym dziś — w 69 rocznicę Rewolucji Październikowej, której pierwszym aktem programowym był właśnie „Dekret o Pokoju”.

MICHAŁ HOROWICZ

Inauguracja optymistyczna

W DOBRZE PRACUJĄCYM ośrodku kulturalnym nie ma przerwy; jest jedyne, np. w okresie wakacyjnym, wyciszenie i zmniejszenie propozycji kulturalnych. Sformułowanie „inauguracja roku kulturalnego i sezonu artystycznego” musi być traktowane w kategoriach symbolicznych. Jest to bowiem moment pozwalający na dokonanie pewnego bilansu, ocenę dotychczasowej pracy i osiągnięć, a także błędów i porażek — we wszystkich placówkach: od najsłabszego klubu wiejskiego do wyspecjalizowanych domów kultury, teatrów, instytucji muzycznych, muzeów.

Działalność kulturalno-artystyczną w sezonie 1986/1987 inaugurowano w nadgranicznym Gubinie. Okazała była niezwykła, — oto, po wielu latach, odremontowano zabytkowy ratusz, a w jego

przepięknych wnętrzach rozlokował się Gubiński Dom Kultury, placówka bardzo miastu potrzebna. Dotąd GDK mieścił się w starym nieciekawym budynku, który nie pozwalał na rozwinięcie ciekawej pracy kulturalnej. Odniosłam wrażenie, iż otwarciem domu kultury

Z REGIONU

z prawdziwego zdarzenia — Gubin niejako się nobilitował. To jest jeszcze jedno atrakcyjne miejsce w niedużym mieście, ale także — możliwość ciekawego spędzenia czasu, rozwoju zainteresowań samorealizacji w wybranym kierunku. Jest to zarazem poszerzenie skromnej dotąd oferty kulturalnej Gubina, zamykającej się w programach dwóch kin, sporadycznych propozycjach Estrady i szkolnych porankach teatralno-muzycznych.

Gubińską inaugurację zaszczylił wojewódzkie władze partyjne i admini-

stracyjne. Twórcami i działaczami kultury wręczono odznaczenia, nagrody, dyplomy. Przemówienia sekretarza KW PZPR, doc. dra hab. K. Kaszyńskiego, i dyrektora Wydziału Kultury UW, Barbary Fijałkowskiej, podkreślały zasługi wyróżnionych działaczy kultury, ich rolę we własnych środowiskach, a także miejsce kultury w życiu społeczeństwa. I choć mówiono rzeczy znane, nie odnosiło się wrażenie, by pewne hasła wytarły się, czy zbanalizowały. Bowiem naszą ambicją jest rzeczywiste rozwijanie pracy kulturalnej we wszystkich środowiskach, a przez to podnoszenie ogólnej kultury społeczeństwa. Właśnie domom kultury i pomniejszym ośrodkom przy pisano funkcję organizatora edukacji kulturalnej społeczeństwa, oczywiście przy udziale działaczy i twórców kultury.

Pamiętajmy, iż warunki funkcjonowania 54 ośrodków kultury w województwie zielonogórskim (są to dane z końca 1985 roku; w międzyczasie otwarto domy kultury w Nowogrodzie Bobrzańskim i Gubinie) są bardzo zró-

nicowane. Jak w każdej dziedzinie życia, tak i w kulturze są ośrodki bogate — ze wspinalnym zapleczem, sprzętem, doskonałą kadra, niezłymi finansami — i ośrodki biedne — pracujące w złych warunkach o skromnej bazie, z niewieloma animatorami kultury.

Miejmy nadzieję, że następne lata pracy owe dysproporcje wyrównają. Myślę nie tylko o różnicach w funkcjonowaniu placówek kultury, te zapewne będą się utrzymywać jeszcze długo, ale myślę przede wszystkim — o usuwaniu różnic w dostępności kultury i jej osiągnięciach, o rozwoju indywidualnych zdolności i zainteresowań dzieci i młodzieży na wsi i w miastach dzięki rozwiniętej działalności kulturalnej, nawet w najmniejszych środowiskach, wreszcie — o zaktualizowaniu wielu ludzi różnych zawodów i wieków do współorganizowania kultury, uwspółcześniania jej, przygotowania do odbioru i udziału w ruchu muzycznym, teatralnym i muzealnym.

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Za ODRĄ

W NRD jada się nieracjonalnie

„Porcje są dobre i obite” — oto najczęstsza reklama zakładów gastronomicznych w NRD udzielana przez miejscową ludność przyjeżdżającym po raz pierwszy. Kuchnia jest tradycyjna: w porze obława — golonka, sznycel lub kotlet z wędzonego sznaua, obowiązkowo z sałatką i ziemniakami zasmażanymi. Do tego kaszka, marchewka, kalafior — oczywiście konserwowane. Tylko w stolicy i miastach okręgowych można znaleźć restauracje oferujące kuchnię innych krajów: rosyjską, polską, węgierską czy bułgarską.

„Po prostu jemy za dużo” — tak opisuje sytuację żywieniową w NRD prof. Rainer Macnolz z poczdamskiego Centralnego Instytutu ds. Wyżywienia. W NRD lubi się dać dużo i słodko. Ze statystyki wynika, że statystyczny mieszkaniec NRD jada rocznie — wg. danych za 1985 r. — 94,1 kg produktów mącznych, 39,1 kg cukru i sody, 9,1 kg warzyw, 9,8 kg masła oraz prawie 100 kg mięsa i jego przetworów.

Przyzwyczajenia żywieniowe mają swe korzenie historyczne. Po dziś dzień dzieci otrzymują od rodziców, a zwłaszcza od dziadków „coś słodkiego” w na grodzie lub jako dowód sympatii i miłości. Jest i inna przyczyna przesadnego jedzenia. Ta znana także w Polsce. Wykazuje ona z konieczności wystawiania w kolejkach w delikatesach spożywczych, gdzie można kupić smaczne, ale i drogie wędliny. Po kilkudziesięciominutowym czekaniu kupuje się znacznie więcej, niż zazwyczaj potrzeba. Obfita kolacja jest już tylko naturalną tego konsekwencją.

Od kilku lat obserwuje się w NRD zjawisko polegające na tym, że wraz ze wzrostem dochodów rodzin rośnie popyt na delikatesy artykuły spożywcze. Nie ma kolejek w zwykłych sklepach samoobsługowych oferujących standardowy wybór mięs i wędlin, rosną natomiast kolejki w delikatesach. Ponadto „oszczędzanie na jedzeniu” jest uważane powszechnie w NRD za naganne.

Trudno zatem dziwić się, że co trzeci obywatel NRD ma nadwagę, a liczba osób ze schorzeniami serca i układu krążenia stale wzrasta. Aktualnie ocenia się, że 3,2 mln mieszkańców NRD ma ze względu na niewłaściwe odżywianie się — zwłaszcza nadmierne spożywanie tłuszczy zwierzęcych — kłopoty z układem krążenia i sercem. Rosnie także liczba osób chorych na cukrzycę, zarejestrowano ich już ponad pół miliona.

Zdaniem prof. Macholza, istniejąca w NRD przesłanka dla bardziej racjonalnego żywienia. Podaż owoców i warzyw w ciągu ostatnich 10 lat znacznie się poprawiła. Naukowcy od racjonalnego żywienia czynią wiele w kierunku wyjaśnienia ludzkiej potrzeby zmiany sposobu odżywiania się, przestrzegając przed skutkami obarstwa. W instytucie poczdamskim opracowuje się receptury mniej kalorycznych potraw dla stołówek zakładowych. Zaleca się używanie tłuszczy roślinnych zamiast zwierzęcych. Ale ludność dość nieufnie traktuje te zabiegi i jada tradycyjnie, nie bacząc na skutki.

(x)

Zainteresowanie wystawą poświęconą Fryderykowi II

Wystawa „Fryderyk II i sztuka” w Poczdamskim zorganizowana z okazji 200 rocznicy śmierci pruskiego króla wzbudziła większe zainteresowanie odwiedzających niż tego oczekiwano.

Taką ocenę wyraził dr Giersberg, dyrektor zamków w Poczdamsie — Sanssouci w wydawczynie publikowanym na łamach tygodnika WOCHENPOST.

Dr Giersberg dopatruje się dwóch głównych przyczyn ogromnego zainteresowania tą wystawą, która w ciągu 4 tygodni po otwarciu przyciągnęła 50 tys. zwiedzających: „Pierwszą przyczyną polega na nasileniu się powszechnego zainteresowania historią ze strony naszego społeczeństwa, które stara się zlikwidować luki w nauczaniu historii w naszych szkołach. Między wojną chtëpską, rewolucją z 1848 r. i rewolucją listopadową w naszym stuleciu jest wiele wydarzeń historycznych, które składają się na naszą dziedzictwo historyczne. Należy tutaj historia Prus i XVIII wieku”. Jako drugą przyczynę dr Giersberg wymienia samą osobę Fryderyka II. „Wielu gości przychodzi do Sanssouci, a stwierdziliśmy to bardzo wyraźnie w ostatnich latach, z zamiarem poznania życia króla. Zwiedzając wystawę chcą oni dowiedzieć się, jak on wyglądał, jak wyglądał jego podpis, co znajduje się w jego bibliotece, czy też w komnatach mieszkalnych”.

Dyrektor muzeum w Sanssouci poinformował, że pomysły zorganizowania wystawy zrodziły się w środowisku pracowników i działaczy kultury NRD. „Fakt, iż my zorganizowaliśmy tę wystawę, został spowodowany tą prostą przyczyną, że Fryderyk II jest dla nas najważniejszym inspiratorem w zakresie budownictwa. Z jego inicjatyw, pomysłów, a również zgodzie z jego gustem artystycznym powstało Sanssouci. Literatura i sztuka w XVIII-wiecznych Prusach znajdowały się pod silnym wpływem tego człowieka. Jego osoba w jego epoce, a następnie aż po dzień dzisiejszy była zawsze prezentowana w sposób wieloznaczny. Obecnie staramy się do niej przybliżyć”.

Wieksość osób, które dzień przed nowym palacem Sanssouci, urodziła się po roku 1945. To właśnie głównie dla nich przeznaczona jest ta wystawa, która hojnie jest wspierana przez 30 muzeów z NRD i która 670 eksponatami prezentuje wkład Fryderyka II do niemieckiej kultury — stwierdził dyrektor Giersberg.

(x)

Kościół ewangelicki traci wiernych

Zachodniobermberska gazeta kościelna BERLINER SONNTAGSBLATT zamieściła wypowiedź superintendenta ewangelickiego stolicy NRD, Guentera Kruusche na zebraniu administracji kościelnej. Stwierdził on, że jedynie 7 proc. mieszkańców Berlina to aktywni członkowie Kościoła ewangelickiego.

Zdaniem Kruusche, największym problemem gmin ewangelickich jest stale zmniejszanie się liczby członków. Niektórzy pastory nie mogą nawet odprawiać nabożeństw z powodu całkowitego braku wiernych. Z kolei wiele parafii nie jest w ogóle obsadzonych przez duchownego. Jak twierdzi Kruusche, „wszystkie ciągłe naciski zeświecczałego otoczenia” wierni skupiają się w małe grupy, wspólnoty domowe, „kręgi elitarnie”. Jest to zjawisko niekorzystne, gdyż konsekwencją tego procesu jest wyizolowanie się wiernych ze społeczeństwa. Owo „rozbieżenie” nazwał Kruusche największym obecnie niebezpieczeństwem dla Kościoła ewangelickiego w NRD.

(x)

Wyjazdy turystyczne młodzieży na Zachód

Ostatnio po raz pierwszy 25-osobowa grupa młodzieży NRD wyjechała do USA. Program wizyty obejmuje zwiedzanie Nowego Jorku (wraz z siedzibą ONZ), Waszyngtonu, Bostonu, Filadelfii i innych miast. Delegacja ma odbyć spotkania z młodymi robotnikami, związkowcami i studentami USA. Wizyta będzie trwała dwa tygodnie.

Od kilku lat notuje się w NRD stały rozwój turystyki młodzieżowej do krajów zachodnich. Najwcześniej młodzie-

żowa wymianę turystyczną rozpoczęła z Austrią i RFN. Później celem wycieczek stały się Francja i Włochy, a także Meksyk.

(x)

Za LABĄ

Kto sprowokował II wojnę światową?

Nie jest chyba przypadkiem, że ta książka ukazała się w RFN właśnie w przedmiedzi czterdziestej rocznicy Dnia Zwycięstwa.

Jej autorem jest Max Kluever. Tytuł brzmi „Czy była to wojna Hitlera?”. W podtytułach czytamy: „Błędy historii — o niemieckiej polityce zagranicznej w latach 1937 — 1939”. Autor rozpiszł się na 448 stronach, a dzieło choć kosztuje 39 marek i 80 fenigów polecało jak woda.

Kluever uzasadnia aneksję Austrii i rozbiór Czechosłowacji dokonany na mocy układu monachijskiego, Złatem wypomniał Polsce, że po pierwszej wojnie światowej zamiast okazać wdzięczność Niemcom za to, że dzięki nim odzyskała niepodległość, targnęła się na wschodnią część Górnego Śląska i rżnęła niemieckie terytorium, które przypadły Prusom w wyniku trzech kolejnych rozbiorów. Szczególny akcent kładzie na Gdańsk, ale i o innych „stratach” niemieckich, a szczególnie o Pomorzu Gdańskim (nazywa je „korytarzem”) nie zapomina. Ma pretensje do rządu R.P., że 23 maja 1935 roku tuż po śmierci marszałka Piłsudskiego odrzucił prośbę Hitlera, aby w zamian za „germańskie niemieckie” obejmujące budowę eksperymentalnej autostrady niemieckiej przez Pomorze Gdańskie rząd polski zawarł sojusz wojskowy z Trzecią Rzeszą skierowany przeciwko Związku w Radzieckiemu. Była to zdaniem Kluevera wielkoduszna oferta, na którą w Niemczech żaden inny rząd poza hitlerowskim nigdy by się nie zgodził.

Propozycje włączenia się w rydwan wojenny Trzeciej Rzeszy, nieraz jeszcze były składane przez Berlin Warszawski. I ciągle spotykały się ze strony polskiej z wielką rezerwą. Szczególnie boli autora fakt, że Polska w 1937 r. odrzuciła żądanie przyłączenia się do „Paktu Antykominternowskiego”, który od początku był sojuszem o wyraźnie zaczepnym charakterze.

Największym ustępstwem ze strony Hitlera było — zdaniem historyka zachodniemieckiego — to, że w nocy z 21 marca 1939 r. nie żądał już nawet od Polski udziału w przyszłej wojnie z ZSRR. Domagał się natomiast „tylko” Gdańska i Pomorza Gdańskiego. Uff! Jaki łagodny był ten Hitler.

Brak miejsca by cytować wywiady Kluevera składającego odpowiedzialność za zastrzeżenie się stosunków polsko-niemieckich wyłącznie na Becka i na Anglików, którzy „bez przemyśleń dolewali oliwy do ognia” i „krzyżowali wszystkie kroki Hitlera zmierzające do odprężenia”.

Autor usiłuje wytłumaczyć postępowanie Hitlera na kilka godzin przed napadem na Polskę i twierdzi, że ultimatum przeczytane przezeń w nocy ambasadorowi brytyjskiemu w Berlinie „wcale nie było ultimatum” i gdyby się Warszawa zgodziła na wysłanie do Hitlera „wysłannika z pełnomocnictwami, to mogłaby jeszcze niejedno wytargować. Nie była to więc — twierdzi — wojna Hitlera, lecz wojna Polski i Anglii”.

Poczekajmy na następne wydanie książki pana Maxa Kluevera. Chyba znajdzie usprawiedliwienie i dla tego postępu. A jeżeli nie on to jakieś inne uczone indywiduum w roli historyka. (Alfa)

Żalotne podsumowanie

Takim tytułem jedno z pism w Republice Federalnej opatrzyło sprawozdanie z opublikowanego niedawno w Bonn „Bilansu ścigania przestępców narodowosocjalistycznych”. Stwierdza-

jąc w nim, że na wykrytych do 1 stycznia 1986 r. 90.921 przestępców hitlerowskich, w RFN skazano prawomocnie tylko 6.479, w tym 12 na karę śmierci i 160 na dożywocie. Większość z pozostałych 6.307 otrzymało wyroki znacznie łagodniejsze, których poza tym z reguły nie musieli odsiadywać. 83.140 oskarżonych w ogóle nie zostało skazanych z „braku dostatecznych dowodów” lub „niezdolności do odpowiedzialności karnej”, a byli i tacy, którym za morderstwo wymierzono karę — grzywny. Dla porównania, w alianckich procesach przestępców wojennych w Norymberdze, Trybunał skazał 806 zbrodniarzy na karę śmierci. Wykonano 486 wyroków, a 320 osób ułaskawił no w terminie późniejszym. Bonńska Tęmida była więc wyjątkowo opieszała i wyrozumiała dla hitlerowskich przestępców. Centralna Placówka ds. Zbrodni Nacjonalistycznych powołana została w RFN w Ludwigsburgu 1.XII.1955. Do 31 grudnia ub.r. roku, jak wynika z raportu, wyszła 4954 postępowania wstępne dochodzeniowe, z których 4853 zakończyła i przekazała prokuratorom. 101 postępowanie jest jeszcze w toku. Oskarżono ponad 850 obwinionych i wielu z nich skazano. W ub.r. roku Centralna Placówka w Ludwigsburgu wdrożyła 55 nowych dochodzeń w sprawach morderstw hitlerowskich bądź pomocy w ich popełnianiu. Największą część tych dochodzeń, bo aż 42 opiera się na materiałach dostarczonych przez polską Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich. Kierownik placówki w Ludwigsburgu, prokurator Streim wyjaśnił, iż stale jeszcze prowadzone jest poscig za 12 najpoważniej obciążonymi zbrodniarzami, z których co najmniej połowa przebywa w Południowej Ameryce, a przeciętny wiek wszystkich wynosi 75 lat. Jednakże ogólna liczba nie wykrytych zbrodni jest bardzo duża. Część poszukiwanych zapewne już nie żyje. Przedmiotem wstępnych dochodzeń — stwierdził dalej prokurator Streim — są przeważnie zbrodnie popełnione w Polsce. Przytaczając ich część zostanie przekazana prokuratorom. Zdaniem zachodniemieckiego prawnika wątpliwe jest w oibryzmie większości wniesienie aktu oskarżenia, gdyż przestępcy już nie żyją lub są w wieku wykluczającym postępowania sądowe. Zresztą wskutek upływu czasu coraz trudniej jest jednoznacznie udowodnić winę. Nie uniknie się faktu — twierdził dalej Streim — że władze prokuratorskie będą musiały któregoś dnia zawiesić postępowanie „z przyczyn biologicznych”. Wówczas placówka w Ludwigsburgu mogłaby się stać miejscem badań oraz dokumentacji współczesnej historii. Biłans 40 lat działalności organów sprawiedliwości RFN obniża fakt kapitulacji wobec zbrodni — oświadczył prof. Kazimierz Kąkol, dyrektor Głównego Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich — Instytutu Pamięci Narodowej w Polsce, i to chyba jest właściwa ocena z zachodniemieckiego raportu.

(tema)

Telewizja kablowa szuka prywatnych akcjonariuszy

Ponieważ nie nastąpił oczekiwany run na telewizję kablową, zaangażowani w nią przedsiębiorcy zaczęli ponosić straty. Wymyślono więc sposób na zgromadzenie dodatkowych kapitałów: zaferowano akcje prywatnym udziałowcom. Ich wartość: 68 milionów marek (do 1988 r.). Planuje się mają pomóc w realizacji ambitnych planów ministra poczty, Christiana Schwa rza-Schillinga, który chce „okablować” Republikę Federalną.

Jak dotąd pocztą zachodniemiecka doprowadziła kabel do 6,2 mln gospodarstw domowych, co oznacza, że właśnie tyle mieszkań może odbierać telewizję kablową.

(x)

Na początku lata br. grupa dziennikarzy i współpracowników „Nadodrza” przebywała w Łagowie. W trakcie spotkań i rozmów z mieszkańcami tej miejscowości i okolicznych wsi zapoznawaliśmy się z problemami niezwykle, bo obdarowanej nieprzeciętnymi walorami krajoobrazowymi i klimatycznymi okolicy, które ściągają tu w sezonie letnim wielu wczasowiczów i turystów. Szczególnie interesował nas jednak Łagów, ze względu na funkcje, jakie pełni on obecnie i pełnić powinien w przyszłości. Toteż w rozmowie z władzami gminy nie ukrywaliśmy naszego zaniepokojenia procesem postępującej degradacji tej pięknej, zwanej „perłą” Ziemi Lubuskiej miejscowości, mówiliśmy o potrzebie przeciwdziałania występującemu tu zagrożeniu ekologicznemu, przyspieszenia budowy sieci kanalizacyjnej i oczyszczalni ścieków, rozbudowy niezbędnej infrastruktury, usprawnienia funkcjonowania handlu i usług, poprawy istniejącego tu stanu sanitarnego. Mielśmy świadomość, że temu wszystkiemu nie są w stanie podołać same władze gminy, stąd też prezentując na specjalnej kolumnie w nr 12 (617) „Nadodrza” pt. ŁAGÓW — 86” nasze spostrzeżenia i wnioski liczyliśmy na zainteresowanie i pomoc władz wojewódzkich.

I nie zawiedliśmy się. Nasza publikacja stała się tematem spotkania 13 października br. władz wojewódzkich z udziałem wicewojewody mgr Józefa Łosyka, i dyrektorów 13 wydziałów UW w Zielonej Górze, z władzami i aktywnym społeczeństwem Łagowa. Byliśmy przy tym obecni, możemy więc, z konieczności jednak skrótnie, zrelacjonować przebieg tego spotkania.

Cieszy nas, że uznano celowość inicjatywy „Nadodrza”. Zwróciła ona ponownie uwagę na Łagów i jego różnorodne problemy. Mówił o tym Bogusław Barszcz, przewodniczący Gminnej Rady Narodowej w Łagowie. Jest ogółem na koncepcję rozwoju Łagowa do 2000 roku, ale nie jest ona jeszcze rozpracowana w szczegółach, w wielu sprawach brakuje konkretnych decyzji, często odpowiednich środków na realizację wcześniej podjętych inwestycji. Są to kłopoty z zamkiem, który wymaga, a zwłaszcza otaczające go mury, ponownego remontu, z czym poradzić sobie nie może jego dotychczasowy użytkownik — „Lubtour”. Konieczne jest także czyścić ślimaczącą się budowę oczyszczalni ścieków, od tego przecież zależy czyśność otaczających Łagów jezior. To samo można powiedzieć o budowie lokalnego wodociągu, o gazyfikacji, lokalizacji wysypisk śmieci, stworzeniu niezbędnej bazy dla działalności kulturalnej (w tej dziedzinie na razie więcej robi się w poszczególnych wsiach gminy), uzbrojenia technicznego poszczególnych osiedli mieszkaniowych. Nie podnieśliśmy na wyższy poziom usług turystycznych, jeżeli nie będzie mieszkań dla fachowców, odpowiedniej kadry. Problemów jak widać jest dużo. Ta dyskusja może stanowić początek rozmów o koncepcji najbliższej pięcioletki w Łagowie.

Zenon Łukasiewicz — z-ca red. naczelnego „Nadodrza” — Właśnie to mieliśmy na myśli, pisząc o sprawach Łagowa! Podzielił ten pogląd wicewojewoda

na atrakcyjny projekt, również atrakcyjnie zlokalizowany. Rezerwuje się też tereny pod dalsze budownictwo mieszkaniowe, z chwilą uruchomienia uzdrowiska. Zakłada się bowiem, że wte dy liczba mieszkańców Łagowa, zwłaszcza w sezonie letnim, wahać się będzie w granicach 10—11 tysięcy. Wymagać to będzie także rozbudowy sieci handlowej i usługowej, pod którą rezerwuje się odpowiednie tereny. Niezależnie od powstającej już bazy wypoczynkowej Huty Katowice, dysponujemy jeszcze terenami pod dalsze inwestycje tego typu, jeśli tylko znajdą się odpowiednie środki. Zakładamy, że nie będzie się inwestować w części północnej Łagowa, wzdłuż jeziora Trześniowskiego, gdzie istniejące obiekty zostaną zlikwidowane. Odrębne zagadnienie stanowi Park Krajobrazowy, którego granice zostały już wyznaczone uchwałą WRN. W przyszłym roku rozpoczyna się konkretne prace związane ze szczegółowym zagospodarowaniem tego par

na sprawa to stworzenie bazy sanatoryjnej. Bez pomocy P.P. „Uzdrowiska Polskie” sam nic zrobić nie możemy. Dziś już jednak wiadomo, że do 1995 roku nie ma na to środków. Coś jednak trzeba zrobić! Idzie o ważną dla Łagowa i całej gminy przychodnię zdrowotną z prawdziwego zdarzenia. Jest już jej lokalizacja, pozostaje uzyskanie środków finansowych na ten cel. Przewiduje się, że część z nich pochodzić będzie z budżetu wojewódzkiego, część z SFOZ, a część od tych wszystkich, którzy z tej przychodni będą korzystać. Pozostaje potrzeba stworzenia niezbędnej bazy kulturalnej w Łagowie — na razie jednak nie konkretnego na ten temat powiedzieć nie można, poza tym, że interesują się tym władze wojewódzkie. Mgr Ptaszek podkreślił olbrzymie znaczenie takich poczyną, zwłaszcza na wsi, jak budowa wodociągów, dróg, świetlic, remiz strażackich, w czy nych społecznych, o które apelował, albowiem rozwój Łagowa i gminy w

deusa Frydryk, dyr. Wydz. Rolnictwa UW, informując, że wszelkie zaniebdania w miejscowości Niedźwiedź, o które rych pisał, zostały usunięte.

Trwająca ponad trzy godziny dyskusja koncentrowała się jednak wokół spraw Łagowa. Red. red. Łukasiewicz i Rowiński bardzo krytycznie mówili o funkcjonowaniu łagowskiego handlu, zwłaszcza gastronomii, o braku koncepcji i warunków życia kulturalnego w Łagowie, co szczególnie daje się odczuć w sezonie, kiedy, są tu kłopoty z zakupem nawet bieżącej prasy. W związku z jednoznacznie krytyczną oceną funkcjonowania „Lubtouru” w Łagowie, zwłaszcza w odniesieniu do zamku, co potwierdzili Wanda Janowska — dyr. Biura Dokumentacji Zabytków i Przemysław Niedźwiedziński — z-ca dyr. Wydziału Kultury UW, z czym zgodził się także dyr. Wydziału Kultury Fizycznej Sportu i Turystyki Zdzisław Rola, zebrani z pełną aprobatą zaakceptowali wniosek dyr. Tadeusza Frydryka o przyjęcie tego zabytkowego obiektu przez Świebodziński Kombinat PGR, jeden z najlepszych w województwie. Warto wspomnieć, że istnieje możliwość skorzystania z niebagatelnego funduszu na remonty obiektów zabytkowych Ministerstwa Rolnictwa. Decyzje powinny zapaść wkrótce, „Lubtour” zaś, nadmiernie obciążony kosztami inwestycji i remontów podległej sobie bazy, mógłby zająć się właściwą organizacją i utrzymaniem odpowiedniego standardu na campingu w Łagowie.

Dyskusję podsumował wicewojewoda Łosyk. Oto najważniejsze tezy tego wystąpienia: Podstawą działań rewitalizacyjnych w Łagowie musi być program przedstawiony przez Architektę Wojewódzkiego i przewodniczącego WKPG. W tej sprawie trzeba działać konsekwentnie, ale z poczuciem realizmu. Należy uwzględnić opinie mieszkańców Łagowa. Wniosek w sprawie przekazania łagowskiego zamku PGR jest nader interesujący i godny realizacji. Na jego remont muszą znaleźć się niezbędne środki. Są jednak sprawy, od których już dzisiaj można zacząć, z poprawą stanu sanitarnego, estetyką, usprawnianiem usług, handlu i gastronomii w Łagowie nie można zwlekać. Musimy powstrzymać degradację Łagowa. Niezbędne jest tworzenie właściwego klimatu wokół tej miejscowości. Proponuję spotkanie za rok, w celu zbilansowania tego, co udało się w tej sprawie zrobić. Łagów to nasza witalność.

Podpisujemy się pod tym.

P.S. Na ostatniej konferencji prasowej Wojewody Zielonogórskiego poinformowano nas, że decyzję Wojewody zamk łagowski przejęty został przez Świebodziński Kombinat PGR.

PRZYPOMNIENIE ŁAGOWA

Wiesław Nodzyński

blikowany w „Nadodrzu” jest powodem obecnego spotkania. Dyskusja powinna sprzyjać decyzjom służącym rozwojowi Łagowa. Musimy pomóc gospodarzom w realizacji przyjętych zobowiązań.

Dyskusję tę ułatwił mgr inż. arch. Bogusław Rogóż, Architekt Wojewódzki, który przedstawił koncepcję zagospodarowania przestrzennego Łagowa do 1990 r. Jest to aktualne do chwili opracowania nowego planu utworzenia Łagowskiego Parku Krajobrazowego. Łagów posiada już wyszczególnione funkcje: administracyjną i usługową, jako siedziba gminy. Wykształciły się też funkcje Łagowa, jako ośrodka turystyczno-wczasowego. Na ten temat istnieją różne, na ogół krytyczne opinie, zwłaszcza w okresie szczytu letniego. W zarysie perspektywnym widzi się Łagów jako uzdrowisko, i to także spojrzeć na tę miejscowość z jeszcze innego punktu widzenia. Są tu udokumentowane pokazy złożeń solanki mineralnej. Przewiduje się budowę sanatorium dla ok. 2,5 tysiąca kuracjuszy. Są już zarezerwowane w północnej części Łagowa odpowiednie tereny. Jeśli dojdzie ona do skutku, to może zasadniczo przeobrazić życie w tej miejscowości. Zachowana zostanie dotychczasowa stara, częściowo zabytkowa zabudowa, zwłaszcza centrum Łagowa, ulegnie ona jednak rewitalizacji i modernizacji. Kontynuowane są prace projektowe nad stosunkowo dużym osiedlem domków jednorodzinnych, częściowo też wielorodzinnych, powinny one być

ku i samego Łagowa. W tej sprawie istnieją już niezbędne, podstawowe dokumenty.

Prezentowaną przez Wojewódzkiego Architekta wizję rozwoju Łagowa uzupełnił i poszerzył mgr Stanisław Ptaszek z-ca przewodniczącego WKPG. Łagów jak i przynależna do niego gmina posiadają określone preferencje i wiele tu już zostało zrobione. Rozwiązano problem wychowania przedszkolnych dzieci, oddając do użytku w 1994 r. przedszkole, wybudowane kosztem 40 milionów złotych. Są też już mieszkania dla nauczycieli. Stopniowo ulega poprawie ochrona środowiska naturalnego Łagowa. Od wielu lat trwa budowa oczyszczalni ścieków i związanej z nią kanalizacji. Całość kosztować ma ponad 1 miliard złotych. Jest to kwota olbrzymia, stanowiąca znaczną część budżetu województwa. W pierwszym etapie tworzy się kanalizację prawobrzeżnej części Łagowa, od strony Łagówka, prowadzącą aż do oczyszczalni ścieków. Całość wykonuje Zielonogórskie Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich. W następnych latach — budowa kanalizacji i oczyszczalni ścieków lewobrzeżnej (starej) części Łagowa przebiegać będzie w znacznie trudniejszych warunkach. Pełna realizacja tych inwestycji zlikwiduje zanieczyszczenia obu jezior łagowskich. Natomiast wodociąg dla Łagowa chcemy przeprowadzić także ze środków inwestycyjnych, ale przy znacznej pomocy ich użytkowników, nie na wszystkie bowiem starczy nam pieniędzy. Dokumentacyjnie jes-

dużej mierze zależy od aktywności ich mieszkańców. Są w tej mierze już doświadczenia.

Nawiązał do tego Bogusław Barszcz, ilustrując przykładami z poszczególnych wsi, co przy pomocy czynów społecznych, których wartość sięga 80 milionów złotych, już tam zrobiono. Z dużą pomocą mieszkańcom wsi przychodzi PGR-y. Np. w Zelechowie w tym roku rozpoczęto budowę domów mieszkalnych, instalacji wodociągowej i lokalnej oczyszczalni ścieków. Samorząd rolniczy podjął się remontu świetlicy. W Sieniawie ze środków uzyskanych w konkursie między sołectwami (I miejscę), wybudowano przystanki autobusowe, oraz wyremontowano drogę. Podobnie w Łagówku. W Gronowie znaleziono kontrahenta, który podjął się budowy spalono „Bukowego Dworu”. Jest nim przedsiębiorstwo „Transnafta”, które tworzy tu bazę wypoczynkową dla swych pracowników. W samym Łagowie przeznaczono sto milionów złotych na remonty dachów, odnowienie elewacji budynków, budowę szamb, bieżące remonty itp. Mieszkańcy Kosobudza uzyskali zapewnienie, że brakujący odcinek drogi z Toporowa do ich osady będzie dokończony. Złożył je inż. Leszek Nowaczyński, zastępca dyr. Wydziału Komunikacji UW, który omówił dotychczasowe inwestycje drogowe na terenie gminy. Co one znaczą, dostrzega każdy, kto tam jeździ. Ich wartość w ciągu ostatnich paru lat wynosi kilkadziesiąt milionów złotych. Niemalą satysfakcję spra-

PLUSY I MINUSY

Ryszard Rowiński

Konferencja PZPR w Łagowie referatem Egzekutywy, dyskusją i „Uchwałą”, stworzyła określony obraz gminnej rzeczywistości. Nie jest to obraz ani optymistyczny, ani pesymistyczny, po prostu — prawdziwy.

PZPR w gminie Łagów zwiększa swoje szeregi. O legitymację partijną ubiega się coraz więcej robotników, pracujących w kopalni węgla brunatnego, w uspołecznionym rolnictwie. Partia umacnia się ilościowo, doskonali styl pracy, ma możliwość głębszych kontaktów ze społeczeństwem. Kilka organizacji partyjnych posiada spory dorobek, wypracowany w okresie politycznie bardzo trudnym. Nie da się jednak ukryć i takiej prawdy, że są podstawowe organizacje partyjne, które z dużym trudem wykonują swoje podstawowe, statutowe obowiązki. Proste stwierdzenie, że powinny one pracować lepiej, niczego właściwie nie wyjaśnia. Z aktywnej, silnej organizacji partyjnej, agresywnej wobec bezwładu, głupoty, walczącej z konkretnie nazwanym złem, społeczeństwo żyje się lepiej. Złem takim jest na przykład pogarszający się stan sanitarny. Całe województwo ma w tej dziedzinie niską notę, jednak Łagów, jest jedynym na środkowym Nadodrzu uzdrowiskiem! I z tego choćby miarą posiada szczególne obowiązki w troszczeniu się o higienę, ochronę środowiska naturalnego.

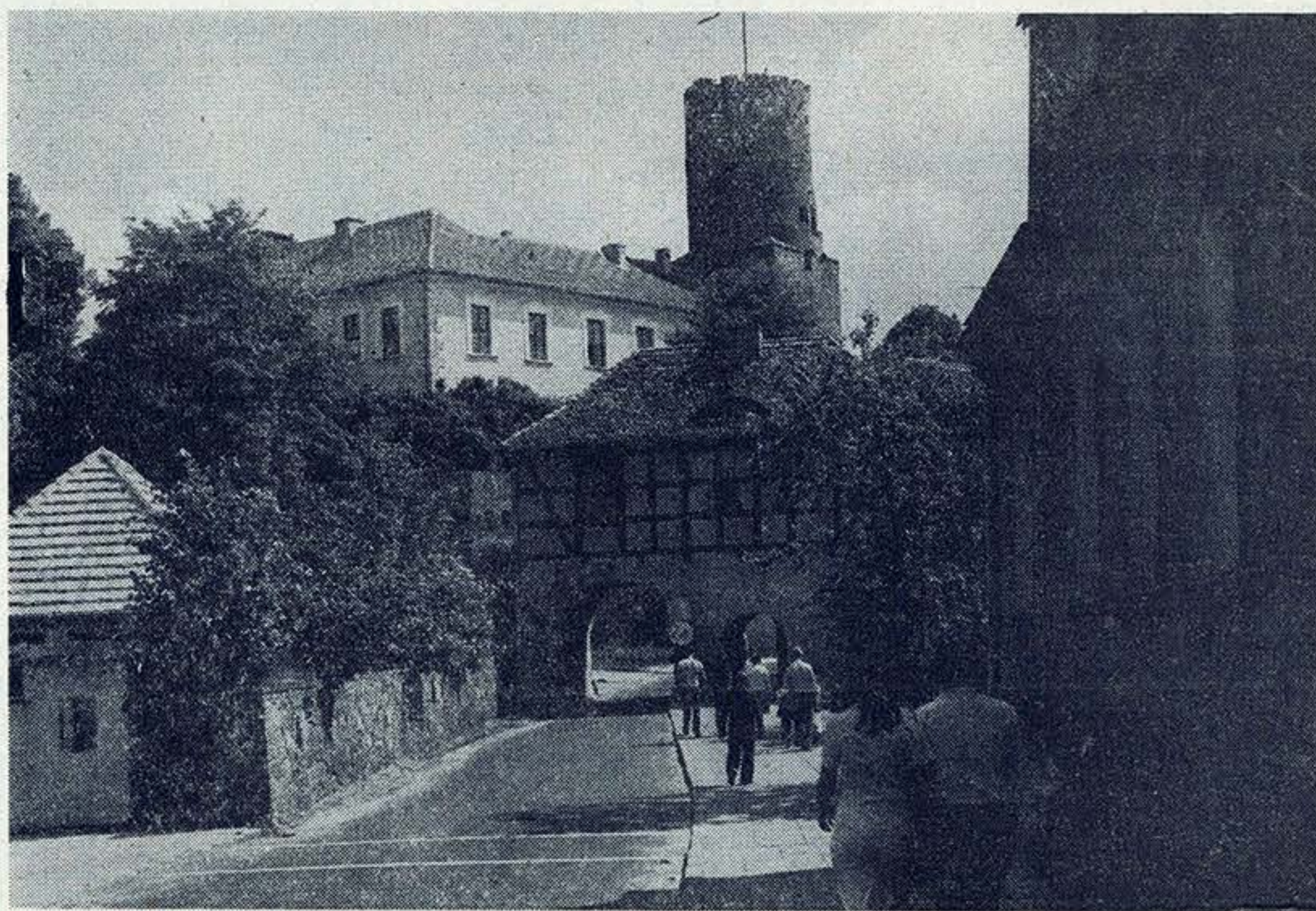
Organizacje partyjne uwikłane w zmienianie rzeczywistości, do czego zobowiązuje X Zjazd, bynajmniej nie mają lekkiego życia. Zmienianie rzeczywistości na lepsze odbywa się z ogromnym trudem, przy dużym oporze samej materii, również i niektórych ludzi, których konserwatyzm osiada cechy charakterologiczne. Ale tylko takie organizacje mogą czerpać siłę wynikającą z poparcia społeczeństwa.

O handlu w Łagowie i otaczających miejscowościach wiadomo dużo. Jest to dyżurny temat na lato. Dziś można powiedzieć, że nastąpiła stabilizacja zaopatrzenia w żywność. Jest to stabilizacja na poziomie elementarnym, choć obecnie i to może być powodem do satysfakcji. Ale oto w referacie Egzekutywy zauważono, że przy niedostatku zaopatrzenia w artykuły przemysłowe trwa-

lego użytku, występuje zjawisko handlu protekcyjnego. Jednym łatwiej nabyć określone dobro, innym całkiem się to nie udaje. Jest to zjawisko, które musi niepokoić. I oto na trybunę wchodzi delegat reprezentujący Podstawową Organizację Partyjną — 22 członków na 331 zatrudnionych w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Mówi przez 15 prawie minut. Po przełożeniu jego wystąpienia na język polski, polegający na wyjaśnieniu sobie tego choćby, co znaczy słowo „zamówiennictwo” okazuje się, że te piętnaście minut zajętych zostało na mówienie o niczym, a najmniej, bo nic, na temat handlu protekcyjnego. Stwierdzeniami, że chcielibyśmy, możemy, ogólnie biorąc, rzeczywistości się nie zmienić.

W gminie Łagów, jak wszędzie, plusy i minusy nawzajem się przenikają. Na tym właśnie polega złożoność obrazu rzeczywistości. Oto rabunkowa gospodarka rybacka na jeziorach została wzbogacona o nową metodę. Pojawili się nurkowie z harpunami. Tłuką ryby bez miłosierdzia, nie zważając na wymiary ochronne, ilość złowionej ryby, bez żadnego kowania terenu łow. Plaga społeczna — opilstwo, wzbogacona została o nowy element. Niektórzy młodzi łagowianie zaczynają się narkotyzować. Pojawienie się ćpunów w rustykalnym pejzażu przypisać należy demoralizującemu wpływowi turystyki. Od tego stwierdzenia lżej na sercu się jednak nie robi. Ważne jednak jest, a Konferencja silnie to akcentowała, aby patogeniczne zjawiska społeczne miały przeciwwagę w pozytywnych alternatywach, takich jak rozwój sportów, dynamiczna działalność organizacji młodzieżowych o których powiada się, że śpią sobie spokojnie — choć Ośrodek Szkoleniowy ZSMP zlokalizowany jest właśnie w Łagowie, czy też atrakcyjna działalność kulturalna.

Samą dyskoteką szczęścia się nie osiągnie. Łagowie potrzebny jest dom kultury z prawdziwego zdarzenia. W bazie, jaka jest — czyli w baszcie, co najwyżej można zorganizować potancówkę dla tyłu sardynek, ile ich się zmieści w pudełku. Perspektywy budowy domu kultury dzisiaj nie ma. Coż więc czynić? Jest w Łagowie budynek



Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

kina, przez 9 miesięcy wykorzystywany przez dwa dni w tygodniu. Czy przez pozostałe pięć dni ów budynek nie mógł by służyć mieszkańcom jako placówka kulturalna? Konferencja podjęła w tej kwestii decyzję poszerzoną o konieczność zwołania funduszy kulturalnych w różnych przedsiębiorstwach i instytucjach, tak aby je można było sensownie wydawać na przedsięwzięcia służące całej społeczności gminy. „Wiemy co jest złem. Społeczeństwo oczekuje poprawy jakości życia. Jednak na siedząc z założonymi rękami takiej poprawy się nie osiągnie w żaden sposób. Trzeba za kasą rękawy i wziąć się do ciężkiej roboty. Innego wyjścia nie mamy”. Taki był ogólny nurt rozważań na łagowskiej konferencji gminnej.

Powiedziano na konferencji, bez owijania w bawełnę, przykrą prawdę o stanie świebodzińskiego szpitala, gdzie

rodzą się i umierają mieszkańcy kilku gmin. Warunki leczenia w tym szpitalu są fatalne — zeszmaczone korce, zła praca średniego personelu. I oto powstała inicjatywa: gminy korzystające ze świebodzińskiego szpitala zakupią dla szpitalnych oddziałów aparaty telewizyjne, po to aby ludziom chorym umożliwić kontakt ze światem, by przełamać beznadzieję oczekiwań na odwiedzinę kogoś z rodziny. Pomysł jest wspaniały!

Rozrzut plusów i minusów z złożoności łagowskiej można ilustrować na różnych sposobach. Oto rolnictwo, to wielkotowarowe i chłopskie, ma duże osiągnięcia w produkcji zbóż. Ale zaraz potem można powiedzieć, że spada pogłowienie bydła. Oto Łagów rozwiązał spr-

wę mieszkań dla nauczycieli. Dzięki temu ma wykwalifikowanych wykładowców, poszerza stan posiadania, inteligencję humanistyczną. Zaraz potem jest prawda, że na poczcie w Toporowie oprócz naczelnika jest jeszcze 5 telefonistek. Kiedyś był naczelnik z pomocnikiem i była łączność. Dziś z łącznością są kłopoty. Uzyskanie telefonu i numeru telefonicznego jest staraniem beznadziejnym. We wrześniu z Łagowa jeździ się do Świebodzi na po pietruszkę i jabłka. Jest to jakby nie było 50 kilometrów.

Konferencja gminna PZPR w Łagowie dobrze służyć będzie społeczeństwu, jego dalszemu awansowi cywilizacyjnemu. Pozostaje determinacja w realizacji podjętych uchwał.

Ludowej, gdzie jest 700 krzeseł, jak też w małych salkach w których z trudem można posadzić dwieście osób. Wiedownie wielkie zarabiają na małe. Innymi słowy: opłacalność imprez z dużej ilości widzów, pozwala na organizowanie przedstawień w salach małych.

— Co Pani ma na biurku?

— „Magazyn Muzyczny” trochę pracy. Mam też do przejrzenia kalkulację grupy „Lombard”. Zakupiliśmy ten program od Estrady Poznańskiej za 84.100 zł. Do tego przewidziane są koszty eksploatacyjne: organizacja widowiska 16.800 zł przy pierwszym i 12.200 przy drugim koncercie w ciągu dnia, obsługa techniczna 4 tysiące zł przy pierwszym i 2 tysiące zł przy drugim koncercie, dwie pozycje usług transportowych w kwotach 18.400 i 5.900 zł, 15 tysięcy hotele, 15 tysięcy nagłośnienie i średnio 10 tysięcy zł za wynajem sali. Dalej: obsługa sali, dyżur kasowy, reklama, podatek od funduszu plac. Wszystko razem czyni prawie dwieście tysięcy zł. Doliczyć trzeba 30 procent naszego narzutu i 4 procent za ZAKS. W sumie koszt występu grupy „Lombard” wyniesie 280.052 zł za pierwszy i 202.018 zł za drugi koncert.

— Skoro Estrada musi sama na siebie zarabiać i w żadnym stopniu nie pozostaje na państwowym garnuszku, musi podejmować wyłącznie działania zyskowne. Czy takim działaniem jest zakupienie „Lombardu”?

— Z pewnością tak. Imprezę mamy kupioną na trzy dni. Zeby się opłaciła, musimy sprzedać 490 miejsc po 500 zł, albo 410 miejsc po 600 zł. Bardziej nam od

dzieci: „Dziwy i cuda” z tekstami Juliana Tuwima oraz „Profesor i czarownice” Jana Jeruzala. Jest recital Janusza Laskowskiego, tego od „Kolorowych jarmarków”. I wreszcie program, o którym już wspominałam: „Piosenka jest dobra na wszystko”. Tym programem zarobiliśmy sporo cegiełek na budowę Szpitala Centrum Zdrowia Matki-Polki. Właśnie nadeszło kolejne podziękowanie, podpisane przez Zenona Komendę, przewodniczącego Obywatelskiej Rady Budowy tego szpitala, za przekazane we wrześniu br. 710 tysięcy zł. Mam jeszcze imprezę przeznaczoną dla klubów, świetlic szkolnych i innych małych pomieszczeń. Wykonawcami są Andrzej Rutkowski—gitara klasyczna i Stanisław Sielicki—słowo wiążące, obydwaj ze Świebodzina.

— Nie odpowiedziała Pani na pytanie, co słyszała w eleganckim świecie, więc zapytam inaczej: co słyszała w Estradzie? Bo istotnie dobiegają mnie jakieś dźwięki.

— To ćwiczy grupa wokalna „Spektrum”, młodzi, utalentowani ludzie. Działali w Zielonogórskim Ośrodku Kultury i Zrzeszenia Studentów Polskich. Od roku pracują u nas, przygotowując się do wielkiego skoku na krajowe estrady, pod okiem reżysera Zbigniewa Czeskiego i szefa muzycznego ko Antoniego Kopfa. Uczą się emisji, dykcji, ruchu i innych umiejętności estradowych. Osiągnęli brzmienie, przypominające „Manhattan Transfer”. Zresztą z repertuaru tego zespołu pochodzi duża część utworów, do których teksty polskie, bardzo dobre i dowcipne napisali Wojciech Młynarski i Magda Czaplińska. Natomiast autorem aranżacji jest Zdzisław Zieliński z Zielonej Góry. Gdy mam czas, wpadam na próbę. Parę minut takiej melodyjnej i harmonijnej brzmiącej muzyki, to

— Gdy umawialiśmy się na tę rozmowę, wspominała Pani, że była też konferansjerem.

— Tak, zdarzało mi się. Występowałam m.in. z Mieczysławem Pawlikowskim, Włodzisławem Głińskim i innymi aktorami. Mogłabym powiedzieć o sobie, jak Irena Kwiatkowska w „Czterdziestolatku”, że jestem „kobietą pracującą i żadnej pracy się nie boję” — w Estradzie, ale nie koniec nie na estradzie. Sprawila to wieloletnia praktyka w sercu firmy, czyli w dziale programowania i eksploatacji, zwanym dziś działem imprez. Byłam tam zastępcą kierownika, kierownikiem. Potem zastępcą dyrektora, a przed dwoma laty zostałam dyrektorem.

— Programowanie i eksploatacja — te słowa kondensują istotę działalności Estrady. Czy zdaniem Pani jest to dział głównie bardziej twórczy, czy bardziej usługowo-handlowy?

— Programowanie, to poszukiwanie form, materiałów, autorów, otwórców, rozmowy z muzykami, wokalistami, kompozytorami, poetami. Odgadywanie i spełnianie ich aspiracji, nakłanianie ich do podjęcia dzieła oraz doprowadzanie do jego publicznej prezentacji. A więc wraz z nimi budowa nie i współtworzenie przedstawienia, widowiska, koncertu, programu. Jest w tym chyba coś twórczego, jak Pani sądzi?

— Twórczość, usługi dla ludności, sprzedaż rozrywki. „Ludzie to kupią” — śpiewało się kiedyś. I jednocześnie mecenat nad talentami, czego przykładem jest praca z zespołem „Spektrum”. Jaką jeszcze rolę, zdaniem Pani, spełnia Estrada?

— Podobnie, jak teatry, filharmonie i inne instytucje artystyczne, Estrada również w pewnym stopniu spełnia nadrzędne zadanie wychowawcze w stosunku do społeczeństwa. Tylko pod czas, gdy wszystkie inne instytucje mogą sobie spokojnie do nadzórne zadanie planować i wykonywać, my — myśmy przede wszystkim myśleć o pieniądzu, ponieważ sami na siebie pracujemy i sami finansujemy wszystkie nasze przedsięwzięcia. Nie mniej, organizując widowiska, czynimy to tak że w imię tego nadrzędnego celu. Chcemy dać ludziom trochę radości, uśmiechu, wypoczynku.

— „Ludzie to lubią, ludzie to kupią” — znów wraca mi stary motyw. Co teraz lubią i co kupują najchętniej?

— Jest to sprawa skomplikowana. Intelktualista krytykuje imprezy o na stroju koncertów życzeń, pogardza „grami do kolektu” i chce od Estrady głębszych doznań. Przedstawiciel tzw. szerokiej widowni pragnie rozrywki łatwej, chce się pośmiać i posłuchać przebojów. Na „Baronie Cygańskim” widownia pękała w szwach, choć używając słów pewnego znanego publicysty, „operetka, to stara ciotka”. Z całą pewnością łatwiej jest sprzedać składankę estradową — z humorem i przebojami, niż literacki koncert lub recital piosenki literackiej. Czasem sama dziwię się, że świetny program, dający coś do myślenia, ma słabe wzięcie. Pewnikiem była muzyka rockowa — teraz już nie jest. Publiczność chętnie dziś słucha piosenek z lat 50-tych i 60-tych, choć też nie zawsze. Teraz, w dobie telewizji i video, trudno ludziom dogodzić.

— A byłby dyrektorem Estrady przy Pani doświadczeniu łatwo jest — czy trudno?

— Myślę, że jak wszędzie, tak i tu najwłaściwsza jest organizacja pracy. Jeśli ona przysięgiowo „gra jak orkiestra”, to dyrektor tylko dyryguje. Ale to tylko teoria i pobożne życzenia. W praktyce bywa różnie...

— Pod „orkiestrą” rozumie się „załoga”. Jak liczą jest w zielonogórskiej Estradzie?

— Szesćdziesiąt ludzi na etatach i kilkadziesiąt na umowach. Jest grupa osób, które pracują w Estradzie nieprzerwanie od kilkunastu lat, jak np. Krysta Piekarska świetnie prowadząca sekretariat, Irena Krajer — specjalistka od rozliczeń czy Paweł Witkowski — kierownik techniczny. Moją wielką podporą jest główna księgowa pani Waleria Kuźaj, związana z naszą firmą od 20 lat, solidna i wszystkowiedząca. Działem, którym poznaczono ja się zajmowałam, kieruje Elżbieta Kosicka-Bela przy współudziale Elżbiety Janickiej. Sprawy programowe należą do dyrektora artystycznego — jest nim reżyser Andrzej Kossowicz.

— Jako szefowa Estrady jest Pani zarazem posiadaczka pewnych włości, myśle tu o Hali Ludowej wraz z dziełkiem, parkingiem, trawnikami. Wewnątrz parkietu, lustra, gobeliny, fotele. Właściwie to do świata, o którym wspominałam na początku.

— Jesteśm w kraju jedna z niewiele lu Estrad, posiadających własną salę widowiskową. Ta Hala Ludowa, to — jak pani kiedyś napisała — nasza radość ale też i żyz. Stary budynek, przerobiony z hali fabrycznej. Wzrost ko się w nim sypie. Toteż czekamy z utęsknieniem na nową halę sportowo-widowiskową, którą buduje miasto i w której zmieści się równocześnie 2,5 tysiąca widzów.

— Czyż zakończymy rozmowę?

— Może moja nadzieja na coraz większą ilość osób wychodzących z estradowych imprez z uśmiechem zado wolenia. Chciałabym też, aby również i prasa dostrzegła częściej poczynania naszej instytucji. Pracujemy przecież w warunkach trudniejszych niż te wiel komejskie.

li do końskich chomąt swe herby, drudzy zaś zaliczali się do chłopów. Chociaż byli z sobą często skłócani, utrzymywali takie granice podziału. Na jakiej zasadzie? To może wiedzieć tylko jeden człowiek, Dybszycki, autentyczny Ojciec Chrzestny, ale nie w tym filmowym ujemnym znaczeniu. On był chrzestnym niemal wszystkich nowo narodzonych we wsi. Ma — o ile się nie mylę — ponad 40 chrześniaków.

We wsi tradycyjnie uznawano, że los jest taki, iż na świecie muszą być biedniejsi i bogatsi. Parobek też był

donosem w ręce bierze go na sętki, on przebiera nogami, bo przecież władza za niego bydlę nie obrażał.

— Jest u nas w gminie takich jak Zygmunt Falfus, żyjących na kwaśnym parobczyńskim chlebie, około 20 osób, wylicza Piekarz. — Są to prze ważnie ludzie pokrzywdzeni przez los. Wyzysk oczywisty. Ale co może Urząd Gminy? Jakże ma możliwości, jakie ma środki, aby ludźmi się zaopiekować. Tu nie chodzi o to, że pracują. To jest nawet dobra terapia. Chodzi jednak o to, jak pracują, jak żyją, co ich pat

NA KWAŚNYM CHLEBIE

uznawany za rzecz zwykłą i gdyby np. władza chciała kwestionować wy myślenie „rodzinne związki” między gospodarzami, a parobkami — wieś parzy z gęby by nie puściła. Solidarność była nadzwyczajna. Tu, dość szybko, wykorzystując wielkie pastwiska basenu retencyjnego, rolnicy solidnie się bogacili. Wszyscy, choć pracowitsi i zdolniejsi szybciej. Tego też nikt nie kwestionował.

Stosunki odmienił dopiero „mister Poldrób”, a mówiąc dokładniej — gęsi. Przed kilkoma laty chów gęsi rozwinął się tu na ogromną skalę. Gęsi poprzez racały różnice w zasobności poszczególnych rodzin, przeprowadzały strukturę gospodarstw.

— Rzecz miała się tak — wyjaśnia Piekarz — silni gospodarze, wielcy hodowcy bydląt, jak Czarna Pani i kilku innych gospodarzy, gęmi się nie interesowali, bo nie mieli rezerwy siły roboczej. Na gęsi nastawili się emeryci, czy ci, którzy mieli mało ziemi, a dużo rąk do pracy. Ci wczorajsi biedniacy i średniacy, stawiali się z roku na rok milionerami. I zaczęło się. Pieniądże dokumentalnie skłóciły wieś. Do tego gęsi zaczęły przeszkadzać w walce z bydlcem o paszę. Roz szalały się wojny podjazdowe, donosy. Brat nie oszczędzał brata.

Zygmunt Falfus nigdy chyba nie zdawał sobie sprawy, że i on stanie się we wsi przedmiotem największego po żądania. Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Gęsiarze, którzy finansowo dawno zdegradowali Czarną Panią, uznali, że każdy następny milion trzeba robić szybciej niż poprzedni. A do tego potrzebne są dodatkowe ręce do pracy, najlepiej takie jak Zygmunt Falfus, ręce, które po nic się nie wyciągają, wydajęjszy kromkę chleba. Do tego, ba, dobry Peerel wypłaca jeszcze rentę, która nie idzie do kieszeni Zygi, bo Zyga ma kieszenie tylko do chronienia rąk przed zimnem.

Gdyby więc Zyga, po kolejnej rozmowie, jaką przeprowadzono z nim przy pomocy kija, uciekł na daleką międę, w nadziei, że odezwie się jego bohater, zjawiała się litościwa osoba, gotowa skraść go Czarnej Pani i obdarować natychmiast nowymi spodniami i koszulką polo.

Zygmunt Falfus nie mógł odmówić propozycji zostania „członkiem rodziny”, tym bardziej, że nazwisko rodziny „nowej” — to samo i portki rzeczywiście nowe i dobrze omaszczane jadła na powitanie. Był zadowolony.

Przetargi przy pomocy sztachet we wsi, gdzie po sól jeździł się fiatami 125, przestały być modne. Teraz najlepiej załatwiała się je przy pomocy władz. Władza poważnie traktuje nawet donosy. Więc tylko migają samochody z numerami władzy. Gdy, pro szę władzy, Zyge syn Czarnej Pani przejechał traktorem, to umieszczono go w szpitalu, pod nazwiskiem tegoż syna, aby z milicją mieć spokój i żeby nie płacić jak za nieubezpieczonego. To nieprawda, proszę władzy, że niejaki Zygmunt Falfus nie miał się w co odziać. I władza widzi szafę otwartą, a w niej kołuchy i futra, a wszyscy to niby było dla kochanego Zygi, no, ale on był tego... tu kółko na czole. Proszę władzy, ci „u których Zygmunt Falfus obecnie przebywa, to są ludzie — z całkiem, tajemnie hodują gęsi i wyzyskują niedorozwiniętego się rola. Oddajcie Falfusa. Nie oddamy kochanej sieroty. Najlepiej niech Zyga idzie do trzeciego, czyli do nas. Ptasie go mleka mu nie zabraknie...” Takie to są pisma i mowy.

Do Zygi coś tam z tych przeciągane dociera, ale na zastanowienie się dużo czasu nie ma. Wszak rola jest jego nie do myślenia, a od obrzydka. A tu czy tam trzeba się ruszać od rana do wieczora, w święta, piątek i niedzielę. Więc nawet jak władza z

ronowie pozwalają im z życia brać, z życia mieć.

Sprawa Falfusa problem ten tylko wyostriła, ale czy go załatwiła? — zastanawia się Piekarz. — A idzie ku temu, że problem będzie narastał. Co by nie mówić, produkcja rolna budzi coraz większe zainteresowanie, a rąk do pracy brakuje. Stąd ten przypływ miłości do kalek, do ludzi bez własnego grzęda, nawet do starców, którzy jeszcze mogą się ruszyć. Dzieje się coś pozytywnego w sensie produkcji i coś niepokojącego w sensie moralnym. Coś niepokojącego w sensie społecznym. Pieniądż skłócił brata z bratem, siostrę z siostrą. Tyle lat żyję, tyle widziałem i przeżyłem, ale czegoś podobnego nie spodziewałem się — mówi Piekarz. — Wszak w tych niezmiernie trudnych czasach osadnictwa, ludzie byli sobie ogromnie życzliwi, wzajemnie sobie pomagali, jednym kartoflem skłonni się byli dzielić. A teraz... mówić aż przyko.

Panowie z władzy znów przepytują Zygmunta Falfusa na okoliczność donosu, jaki przyniosła kolejna poczta. Zygmunt opowiada składnie, całymi zdania mi. A w oczach ma tak ogromne znu dzenie, że obaj panowie z władzy spos trzegają to równocześnie.

Panowie jeszcze nie dociekali, kto to są ci wszyscy kowale, w jakich drobiazgowych intencjach kują donosy. Na razie wiedzą tylko, kto tu jest przysławionym Cyganem, może nie powieszonym, ale moralnie ukrzyżowanym.

Piekarz, któremu wszystko się bardzo szybko kojarzy, powiada: — Falfus cierpiący. Brzmi to prawdziwie. Nieprawdaż?

— Znaczna część wsi dzieli się na trzy skrzydła — zauważa Piekarz. — Na tych, którzy Falfusa chcieli mieć, na tych, którzy Falfusa mogą mieć, na tych, którzy go mieli. Jak kamyczek wywołał lawinę i toczy się wraz z nią. Teraz we wsi wielu ma oczy na teleskopach. Niech no gęsi przejdą przez ogrodzenie, czyjaś krowa w rezerwacie zle stąpnie, a już wiedzą o tym strażnicy rezerwatu i są czujnie pilnowani, aby nie zapomnieli napisać mandatu, albo i wniosku na kolegium. Ja cię zniszczę, powiedział ten temu i to samo ten drugi pierwszemu, trzeci drugiemu, trzeci pierwszemu... Dzieje się coś, o czym mędrcy się nie śnili. Sierota, chory, przez sam fakt istnienia, przez to, że nadaje się do roboty, obniżył naj brzydsze strony ludzkich charakterów.

— To się nadaje na film dla Zanussiego — powiada Piekarz — pod tytułem: Jak Falfus wywołał wojnę w Przyborowie.

Niby finał. Ale oto wieś zostaje znów zaskoczona, bo Zyga wrócił do Czarnej Pani. Zaczął chodzić jak jakieś pa nisko w garniturach z odprasowanymi na żyłkę kantami, pod krawatem.

Zgłoszono chęć adopcji Zygi. Trochę nieudacznik, ale ręce są warte wprowa dzenia ich do rodziny. Konkurenci walczący o Zyge rozmyślają natomiast nad nowymi sztuczkami. Zyga stał się kimś wokół którego kręci się cała wieś i ka wałek gminy.

JERZY NOGIEC.

O ROZRYWCE SKALKULOWANEJ

powiada wariant pierwszy. Grać będziemy w Hali Ludowej. Tak myślę, że wszystko, o czym mówimy, jest odpowiedzią na kierowane do nas pytanie wielu osób, dlaczego nie zobaczy li w Zielonej Górze grupy „Dinozaurów”.

— Tygodnik „Kulisy” twierdzi, że był taki koncert podczas Święta Wino brania. Autor przytacza wypowiedź ja kiegoś widza i wymienia nazwiska Kor dy, Rusowicz i Skowrońskiego.

— Nie o tym nie wiem! Odmówiłam sobie sprowadzenia ich do nas jesienią, ponieważ koszt jednego koncertu wyno sił około półtora miliona i bilet kosztowałby więcej, niż tysiąc złotych. Czy mogliśmy liczyć na komplet widzów w Hali? Chyba nie.

— Dla tych samych przyczyn zapewne nie zobaczyliśmy Shakin Stevensa.

— Także „Clasic Nouveau”, „Ultra-Vox” i wielu innych wykonawców zagranicznych. Przyjeżdżają oni zwykle w asyście wielu osób, z dużą ilością sprzętu i już samo to sprawia, że imprezy te są nadzwyczaj kosztowne. Za Shakin Stevensa trzeba było zapłacić „pagartowi” kilka milionów. A gdzie transport, hotele, reklama, obsługa itp? Gdyby nawet Estrada zrobiła wszystko za darmo i nie wzięła narzutu, to i tak bilet musiałby kosztować około siedmiu tysięcy złotych.

— Zostawmy pieniądze i pomówmy o czymś przyjemniejszym. Nie ja jedna chyba stwierdzam, że miło jest wejść do Waszego biura i popatrzeć na pracujące tu panie ładne i zadbane. Czy wygląd zewnętrzny jest jednym z warunków stawianych pracownikom?

— Tak to można określić. Warunek taki stawia samo życie. Pracownik Estrady obraca się w kregach, które są ma pani nazwała eleganckim światem, musi się więc dobrze prezentować również zewnętrznie.

— I co jeszcze musi?

— Wykonywać bez zarzutu swoje obowiązki. Samodzielność, operatywność, punktualność, odpowiedzialność, uczciwość. Te cechy sprawdzamy u pracowników w ciągu okresu próbnego. Jeśli kandydat ich nie posiada, bądź brakuje mu choć jednej z nich, często sam zrozumie, że nie może pracować w naszej firmie.

— Może jest Pani nazbyt wymagająca jako szefowa?

— Nie sądzę, aby tak było. Wymagam tylko bardzo dobrej, rzetelnej pracy od innych i siebie. Moje wymagania dotyczą także kultury bycia i zachowania czystości w miejscu pracy. Nie wyobrażam sobie instytucji takiej, jak nasza, z bałaganem, nieładem, brudną toaletą. Estrada musi mieć swój *image* także od strony kulis.

— Ale chyba ważniejszy jest wizerunek Estrady, widziany przez publiczność. Jaki jest aktualnie? Jakie imprezy estradowe w kraju mają w etykiecie Zieloną Górę?

— Mamy grecką grupę „Orfeusz”. Są dwa programy rozrywkowe dla

prawdziwe lekarstwo na zgryzoty i hałasy dnia powszedniego.

— Co poza tym podoba się Pani prywatnie? Chcąc spędzić miło wieczór, czy poszłaby Pani na koncert rockowy, czy wybrałaby Pani kabaret, a może coś innego?

— Poszłabym na recital Wojciecha Młynarskiego.

— Członkowie „Spektrum” są już, jak zrozumiałam, pracownikami Estrady. Czy jest to równoznaczne z prawem do wykonywania zawodu artysty estradowego?

— W zasadzie tak. Ale będą musieli zdać egzamin Ministerstwa Kultury i Sztuki, co wymaga poszerzenia wiadomości teoretycznych i przeczytania obowiązkowych lektur. Jest to droga do zawodu.

— Pani droga zawodowa jest przykładem awansu kobiety w PRL. Jak Pani ocenia, teraz, czy była to droga trudna?

— Każde dążenie, w którym człowiek stawia sobie coraz wyższe porzeczki, zawsze wiąże się z trudami. Trzeba poważnie traktować swoje plany. I pracować. Miałam szczęście spotkać w życiu kilku bardzo ciekawych ludzi. Ich wpływ podziałał, że właśnie ukształtowałam się tak, a nie inaczej.

— Kiedy przyjechałam do Zielonej Góry w 1970 roku i po raz pierwszy wszedłam do biura Estrady — jeszcze na deptaku, koło dzisiejszego baru „Niger”, zastałam tam dyrektorów Zdzisława Giżejewskiego i Arnolda Bialikę, panią Basię Kwaśniewską i młodzieńca dziewczęcy w mini. Była to Pani. Stukała Pani coś na maszynie.

— Z pewnością wystukiwałał któryś z moich scenariuszy. Od tego bowiem zaczęła się moja przygoda z Estradą, przyszoła — jak się okazało, na wiele lat... Dyrektor Giżejewski poszukiwał nowych form estradowych, związanych z literaturą. A ja, zrezygnowałam z pracy nauczycielskiej na wsi, poszukiwałam nowego sposobu na życie. Postanowiłam spróbować w Estradzie. Do moich obowiązków należało robienie programów literackich dla szkół. Pamiętam, że mój pierwszy scenariusz nosił tytuł „Teatr mój” i pozostawał w związku z obchodzoną wówczas „rokiem Wyspiańskiego”.

— Mówi Pani o sobie rzeczy całkiem nowe! Nie przypuszczałam, że przed pracą w Estradzie była pani nauczycielką.

— A co, nie widać tego po mnie? Z początku zresztą byłam pewna, że do zawodu tego powrócę. Chodziłam do bardzo dobrych, liceów pedagogicznych — najpierw w Tucholi, w województwie bydgoskim, potem w Gorzowie. Ukończyłam Studium Nauczycielskie i studia polonistyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. Właśnie Pani, ja lubię się uczyć. Teraz np. uczę się języka francuskiego.

— Dlaczego właśnie francuskiego?

— A dlaczegożby nie? To język literatów, artystów. Ile wspaniałych rzeczy można przeczytać w oryginale, gdy zna się francuski.

WYPOWIEDZ HENRYKA OLSZAKA, BYLEGO ŻUŻLOWCA FALUBAZU, MISTRZA POLSKI W JEŹDZIE PARAMI Z 1979 ROKU, WICEMISTRZA KRAJU Z 1981 ROKU, FINALISTY MISTRZOSTW ŚWIATA.

— Moje odejście z Falubazu wywołało wiele plotek wśród kibiców. Prasa podała sporo różnych — często nieprawdziwych — informacji. Myślę, że obecnie emocje wokół mojej osoby nieco ostygły, i że jest pora na wyjaśnienie minionych spraw. Nigdy nie miałem łatwego charakteru, ale do pewnego czasu nikomu to specjalnie nie przeszkadzało. „Sprawa Olszaka” zaczęła się od pamiętnego dla mnie ligowego meczu w Toruniu.

Na mecz w Toruniu przyjechałem po dwóch tygodniach pobytu w RFN. Po

drżyny stwierdził, że premii nie będzie i ten mecz możemy przegrać, wtedy powiedziałem, że nie nadaje się na kierownika drużyny. Mecz wygraliśmy. W zasadzie już mieliśmy mistrza. Pozostawał jeszcze mecz w Gnieźnie, który miał przypieczętować sprawę naszego tytułu. Odbiło się zgrupowanie w Gryzynie, z którego pojechaliśmy na mecz ze Startem. W Gnieźnie był zawsze bardzo przychylny tor, trzeba było jeździć z zębatkami o sześćdziesięciu zębach. Wszyscy tak właśnie mieli, innych zębatek mechanicznie nie zabrali. Tymcza-

numerami silników i ram motocykli — P.P.). Dali mi inny silnik. Ten, nad którym pracowałem, na moich oczach mechanicznie wkręcił w imadło, spłowił numer i wybił nowy. Silnik otrzymał Maciek (Jaworek — P.P.). Nad drugim silnikiem męczyłem się dość długo, ale ciągle bez pożądanego efektu. Na zawodach w Gorzowie zdobyłem 9 punktów. W Zielonej Górze, na meczu z Rybnikiem, jeździłem na motocyklu pożyczonym od Pawlaka, wyjeżdżałem 12 punktów. Wtedy powiedziałem, że chcę inny silnik. Było to krótko przed ćwierćfinalami „Złotego Kasku”. Mechanik oświadczył, że nie zrobi mi motocykla. Powiedziałem mu kilka ostrych słów, on rzucił we mnie pomidorem. Nie chciałem bójki, ale zrewanżowałem mu się kopniakiem w tylną część ciała. Taki był przebieg całego zajścia — do dziś opowiada się o pobiciu przeze mnie mechanika. To jest bzdura. Zresztą obecnie spotykam się z tym mechanikiem i nie mamy do siebie żadnych pretensji. Na drugi dzień, przed meczem, pokazano mi oświadczenia, w których był opisany przebieg zajścia z mechanikiem. Kazano mi iść do pracy. Postanowiłem zwrócić się do Falubazu. Prezes klubu na moim podaniu o zwolnienie zaproponował trzymiesięczny okres wypowiedzenia. To mi nie odpowiadało. Zwróciłem się do dyrektora zakładu z prośbą o natychmiastowe zwolnienie za porozumieniem stron i dyrektor wyraził zgodę.

Po rozmowach w Gdańsku przyszedłem do klubu z pismem GKS-u. Chciałem po prostu przyspieszyć sprawę. Kazano mi przesłać pismo pocztą. Prośbę potraktowano obojętnie. Robiono wszystko, aby mnie skończyć jako zawodnika. W Falubazie już byłem niewygodny, za dużo wleźli, za bardzo się buntowałem. Wiem, że mój przyodek nie jest odoobniony. Polskim sportem rządzą wujowie, dla których

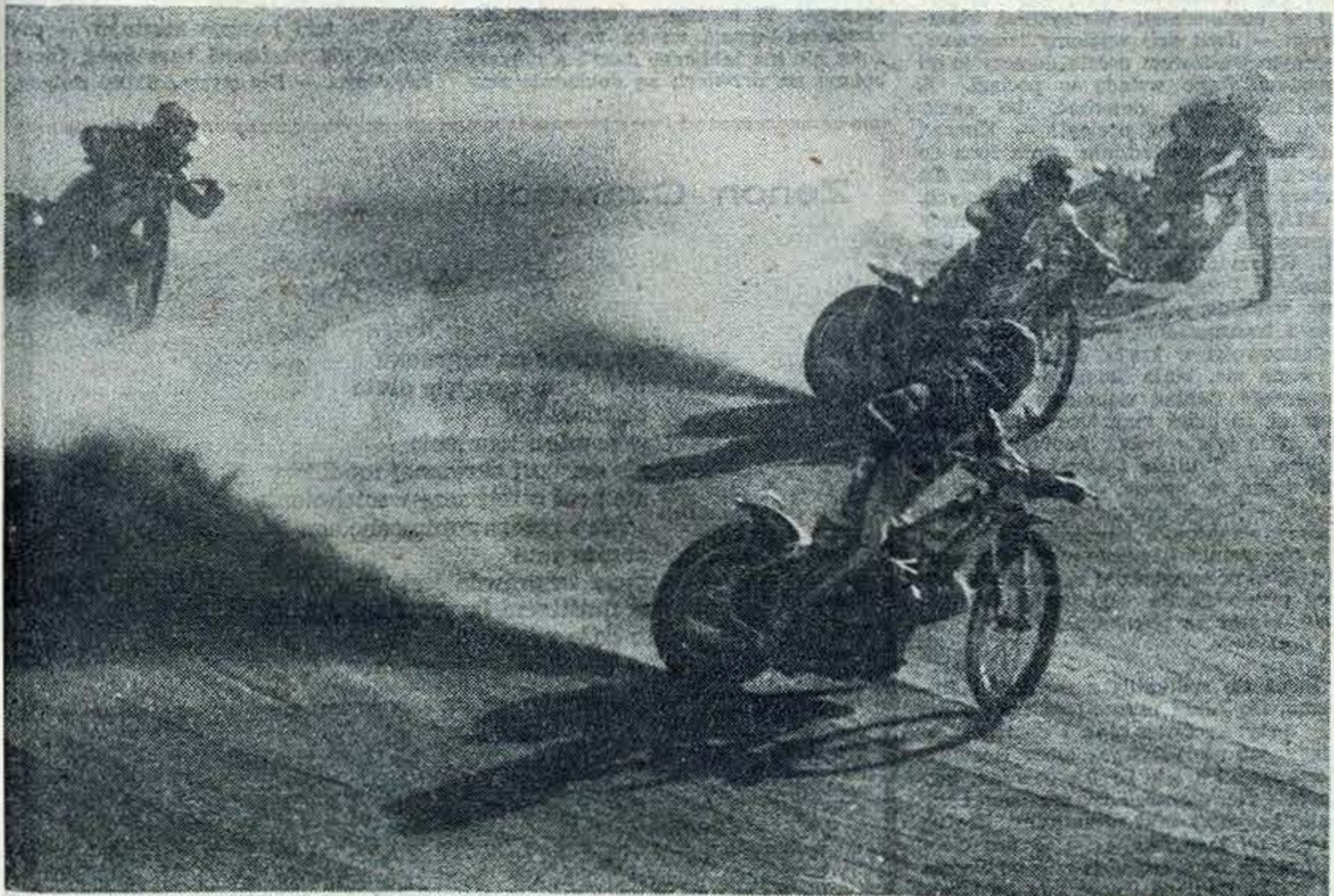
DLACZEGO MUSIAŁEM ODEJŚĆ...

Piotr Plotowski

przyjeździe miałem do meczu jakieś 4-5 dni. W pierwszym biegu byłem drugi, ale już wiedziałem, że coś nie jest w porządku: tor mi się rozszerzał, obserwowałem u siebie objawy przemęczenia. Zgłosiłem to kierownikowi drużyny — kazał jechać. W następnym swoim biegu prowadziłem, ale miałem takie same objawy jak wcześniej, zrezygnowałem i zjechałem na płytę stadionu. Wtedy kazano mi wziąć jakieś tabletki i jechać w następnym biegu. Powiedziałem, że po żadnych narkoty-

sem w Gnieźnie zrobili twardy tor i zębaki musiały być z 57 zębami. Udało mi się takie pożyczyc od znajomego mechanika z Gniezna. Na piętnaście biegów mój motocykl jeździł jedenaście razy. Ten motocykl zapewnił wygranie meczu i zdobycie tytułu mistrza Polski. Niestety, konflikt między mną i zarządem klubu ciągle trwa.

W nagrodę za zdobycie tytułu, drużynie ufundowano wycieczkę na Kubę. Dowiedziałem się od prezesa, że choć na wycieczkę zasługuję w pierwszej



Fot.: TOMASZ GAWALKIEWICZ

kach nie mam zamiaru jeździć i wycofałem się z zawodów. Ten mecz przegraliśmy różnicą kilku punktów, ówczesny prezes zarzucił mi, że mecz sprzedam. Wszyscy koledzy otrzymali, po dziesięć tysięcy, a ja zostałem pozbawiony nagrody i zdjęty z funkcji kapitana. Prezes nawet zasugerował, że mogę odejść z klubu. Następny mecz był w Opolu. Zdołałem tam 16 punktów na 18 możliwych. Prezes pochwalił mnie i przywrócił nagrodę. Nagrody nie przyjąłem. To były bardzo częste praktyki — jednego dnia otrzymywałem nagane, a drugiego pochwałę. Nawet ostatnio, gdy szukałem jakiegoś dokumentu, poczytałem sobie te wszystkie papierki i śmiech mnie ogarnął. Bywało tak, że jednego dnia otrzymywałem nagane za niesportowy tryb życia, a na drugi dzień pochwałę za sportową postawę i znakomite wyniki. Ale tak było już pod koniec mojej kariery w Falubazie. W sumie tych kar w stosunku do pochwał zbierało się znacznie mniej, no, może z pięć procent.

Po meczu z Kolejarzem Opole oświadczyłem zarządom klubu, że tytuł drużynowego mistrza kraju jest w zasięgu naszych możliwości. W następnym meczu, ze Stalą Gorzów, zdobyłem 13 punktów. Moim mechanikiem był wtedy Tadeusz Tumilowicz. Znakomicie nam się układała współpraca. Zawsze mu mówiłem, jakie ma być przełożenie, jaki zapłon — i moje sugestie się potwierdzały. Tumilowicz mawiał, że w ciągu dwudziestu pięciu lat pracy jeszcze z takim zawodnikiem nie współpracował.

Mój udział w mistrzostwach świata to też kamyczek z tej mozaiki. Potraktowano mnie, jakbym wybierał się na trening przy ulicy Wrocławskiej. Mimo to w Pradze rzuciłem sobie dość dobrze. Na Wembley, dobrze wystartowałem. Ale jeśli motocykl przerywa, to nie się nie da zrobić.

Okres względnego spokoju wokół mnie skończył się w Rybniku. Przed meczem zwróciłem się do kierownika drużyny z pytaniem w imieniu całego zespołu o premie za mecz. Kierownik

kolejności, to za to, że byłem niegrzeczny, na Kubę nie pojadę. A wówczas jeszcze odbywałem zastępczą służbę wojskową w straży pożarnej. Dlatego mówiono w klubie, że i tak nie dostanę zezwolenia na wyjazd. To było bzdurne tłumaczenie, skoro w stanie wojennym wyjeżdżałem na Zachód. Zwróciłem się do prezesa o refundację nagrody. Odmówił. Było trochę szumu w klubie. Zawodnicy opowiedzieli się za mną, ale po indywidualnych rozmowach wszyscy zmieklili. Zostałem na lodzie. W związku z takim potraktowaniem mojej osoby skierowałem do GKS Wybrzeże prośbę o zmianę barw klubowych. Tam tejszy zarząd klubu przychylił się do mojej propozycji. W tym czasie zaczęła się prasowa naganka na Olszaka. Czepiano się moich spraw rodzinnych, trudnego charakteru, niesportowego trybu życia itp. Zarząd Falubazu odmówił wyrażenia zgody na moje przejście do Wybrzeża. Zawieszono mnie na dwa lata. Motywowano tę decyzję moim rzekomym zainteresowaniem korzyściami materialnymi. W Gdańsku miałem otrzymać dwieście tysięcy na zagospodarowanie mieszkania.

Pracowałem w Falubazie i nie jeździłem przez połowę sezonu. W powrocie do klubu pomógł mi czołowy działacz polityczny Zielonej Góry. Na skutek jego interwencji przyjęto mnie do klubu na okres próbny. Miałem pracować w Falubazie od rana do dwunastej, a później przechodzić na klubowe warsztaty i przygotowywać sobie motocykl. Wtedy właśnie klub otrzymał nową jawę. Andrzej (Huszcza — P.P.) narzekał na jeden ze swoich dwóch motocykli. Dostał tę jawę. Poprosiłem Andrzeja o udostępnienie mi silnika z tego motocykla, który mu nie odpowiadał. Z dwóch innych motocykli skompletowałem ramę. Pracowałem do skutku. Któregoś dnia przyszedłem do warsztatu pewien już, że mam sprawną maszynę. Wtedy dowiedziałem się, że silnika nie mogę otrzymać, bo jest to silnik kadrowy (na każdych zawodach przedstawiana jest lista zawodników z

zawodnik jest murzynem. Rozmawiałem kiedyś z Bonkiem. Jego też chcieli załatwić, bo walił prawdę prosto w oczy. Afera na lotnisku z udziałem Bonka i Młynarczyka była przygotowana przez wujków i redaktorów na ich żołądek. Kto jest posłuszny, ten może przez dłuższy czas zjadać okruszki z pańskiego stołu. Kto się buntuje, ten idzie w odstawkę. Tak samo jest z Jankiem Krzysyńskim. Chłopak ma w Lesznie żonę, dom. Chciał przejść do Unii, to został na rok zawieszony. A przecież szkoda takiego zawodnika kierować na przy musowy urlop. Falubaz mógł wziąć za Krzysyńskiego grube miliony, ale wolał go ukarać. Janek będzie jeździł w Unii, a Falubaz nie dostanie złotych. Za moje przejście do Startu Gniezno klub wziął pięć milionów, bo w końcu udało się sfinalizować mój transfer. Miałem tam kontrakt na dwa lata. Falubaz zastrzegł sobie w umowie, że nie będę jeździł na meczach w Zielonej Górze. Przez dwa lata tylko raz zaproszono mnie na turniej do mojego rodzinnego miasta. Czy to było w porządku? Będąc w Gnieźnie starałem się pomagać żużlowcom Falubazu, — gdy przyjeżdżali na mecze, — a często była taka potrzeba. Po spadku Startu do drugiej ligi zrezygnowałem z dalszej jazdy w Gnieźnie. Jest zbyt duża różnica między pierwszą a drugą ligą. W zeszłym roku — licząc na zmianę układów w klubie, zmienił się prezes — wystąpiłem z prośbą o ponowne przyjęcie mnie do Falubazu. Odmówiono mi. Nie wiem, czego się obawiają. Ja już zapomniałem o starych sprawach. Z zawodnikami Falubazu mam bardzo dobre stosunki, kibice pytają, kiedy wrócę... Stać mnie na pracę i wyrzucenie, mam już 29 lat i na wiele spraw patrzę inaczej.

Sporo zrobiłem dla klubu. Często jeździłem z kontuzjami, robiono mi blokady, walczyłem z poświęceniem. O tym zapomnieli, widzieli tylko rzekomo złe cechy mojego charakteru. Czy można tak łatwo zrezygnować z dobrego zawodnika, którego wyszkolenie kosztowało masę pieniędzy?

30 września na zielonogórskiej pływali utonął mały Krystian K. W grudniu skończyłby 9 lat. W jaki sposób doszło do tragedii? Czy można było jej uniknąć?

LEKCJA ŚMIERCI

Ewa Zarembianka

O tym, co zdarzyło się przy ulicy Wysockiej, dowiedziałam się już w kilka godzin po wypadku od wstrząśniętej przedszkolanki, opiekunki mojej córki. Przez dłuższą chwilę siedziałam milcząco, głaszcząc główki swoich dzieci. Nie znałyśmy żadnych szczegółów, ale krążyła po mieście plotka co dzień przynosiła nowe wieści.

W piątkowej gazecie ukazał się nekrolog Krystiana.

Moje obiekcje, by o całej tej drażliwej sprawie nie pisać, rozwiata sasiadka państwa K.

Niestety, nie znam rodziców Krystiana, nawet nie znam chłopca. Ale w piątek rozmawiałam z jego babcią, która przyszła zawiadomić o pogrzebie. — Czym pogrzebie? — Małego wnuczka, który utopił się na basenie. — Powinna pani o tym napisać. O tym trzeba głośno krzyknąć. Za śmierć dziecka ktoś przecież ponosi odpowiedzialność!

Rano na próżno pukałam do drzwi państwa K., ale po południu zastałam już wszystkich. Drzwi otworzył mi ojciec Krystiana, młody mężczyzna, przygarbiony nieco i poszarzały, jakby nie spał wiele nocy. Nie protestował, gdy przedstawiał mi cel wizyty. Lecz nie on ze mną rozmawiał, tylko zaprowadził do matki chłopca, kobiety zewnętrznie bardzo spokojnej, ale trzęsącą ręką usługującą zapalniczkę kolejnego papierosa. Mówiła jedynie o Krystianie mocno się zaciągając:

— Krystian? Wtedy, w ten feralny wtorek od rana coś go „nosiło”. Był podenerwowany i nieswoj. Wyraźnie nie mógł znaleźć sobie miejsca. Może dlatego, że poprzedniego dnia tak długo szukaliśmy jego kurtki? Koledzy z klasy schowali ją w koszu na śmieci. Część to robili Krystianowi takie „kawały”. Ukryty gdzieś piórnok można darować, ale ostatnio miarka się przebrała. Postanowiliśmy z synem, że zrobimy chłopcom pikusa — po zajęciach na basenie. Chyba dlatego był podenerwowany, przejęty? Czy Krystianowi szczególnie dokuczało? Nie wiem — był mniej sprawny fizycznie niż inne dzieci, nosił okulary. Bał się o niego. Zawsze ktoś z dorosłych wychodził po niego do szkoły. Najczęściej babcia. Ona bardzo przeżyła śmierć Krystiana. Nie była to przesadna opiekuńczość. Nie chcieliśmy, by w razie ataku epilepsji Krystian był sam. Co prawda, ostatni atak zdarzył się ponad półtora roku temu, ale niebezpieczeństwo nadal istniało. Według opinii lekarza ze Szczecina — w przypadku Krystiana byłaby to epilepsja pourazowa. Gdy był mały, miał rozek, i uczył się chodzić, uderzył główką w kant stołu. To uderzenie mogłoby być przyczyną ataków padaczki. Doktor pocieszał nas — choroba powinna ustąpić do czterdziestego roku życia. Jednocześnie, nie zwolnił Krystiana z zajęć gimnastycznych ani pływania, bo miało to pomóc w nabieraniu tężyzny. Ja się z tym godziłam tym chętniej, że synek chciał ćwiczyć z dziećmi i pływać. Pływać tak, jak mama. Miałam zaufanie do nauczycieli — słowa przerywa kolejny zapalony papieros. — Gdy koło drugiej godziny szłam przez park na Wypiańskiego po Krystiana i przed basenem zobaczyłam karetkę pogotowia, czułam, że coś stało się mojemu dziecku. Intuicja nie zawiodła mnie. Nie dopuszczono mnie od razu do Krystiana, tylko dano zastrzyk i zamknięto w jakimś pokoju. A ja byłam spokojna i chciałam do dziecka. Gdy mi je pokazano, leżało przykryte prześcieradłem. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałam, że nie żyje. Na ciele Krystiana miał duży sińca. I na brodzie. Jak po uderzeniu albo upadku. Do dziś nie wiem, dlaczego Krystian się utopił? Może miał atak i nikt tego nie zauważył? — Przynębiający monolog matki przerywa sześciolatek Kasia: — Mamusi, jedziesz do Krystiana? Przebieżesz go w inne ubranko? — Matka dusi niedopalek w popielniczkę i patrzy na mnie. — Tak, zaraz jadę na cmentarz. Kasia do tej pory nie rozumie, co się stało z jej braciśkiem.

Mija tydzień od śmierci Krystiana, gdy idę do szkoły. W tym dniu klasa II a powinna mieć zajęcia na pływaniu. Ale dzieci przeżyły zbyt duży szok, by z nimi rozmawiać. Nie można narażać ich na ponowne silne stęsy. Upijnie trochę czasu, zanim wrócą do wody. Młoda wychowawczyni klasy Krystiana również jest ciągle pod wrażeniem śmierci swego ucznia. Właściwie, nie chce ze mną rozmawiać. Powtarzając, że to co się wydarzyło jest straszne, winę szuka też w sobie. Mówi, że Krystian przez ostatnie dwa tygodnie chorował na anginę; nie nie wiedziała o jego epilepsji. Nigdy nie trafiło do jej rąk zaświadczenia o takiej chorobie ucznia, nigdy też nie padły te słowa w

rozmowie z rodzicami. Ani razu nie zdarzył się w szkole jakikolwiek atak choroby u Krystiana. Właściwie, nie czuła się kompetentna do wypowiedzi na ten temat. Wewnętrzne napięcie było silniejsze nawet od naszej studenckiej jeszcze znajomości. Odesłana zostałam do dyrektorki szkoły...

Czy ta młoda, inteligentna i, jak się zdaje, energiczna kobieta — spróbuję odpowiedzieć na pytanie, kto jest winien utonięciu Krystiana? Nie przypuszczam, że teczka leżąca na biurku będzie zawierała tak cenne informacje. Najważniejsza jest karta zdrowia Krystiana K. wypełniona w momencie przejścia dziecka z przedszkola do pierwszej klasy szkoły podstawowej. Nie ma w niej żadnej wzmianki o epilepsji, nawet jej podejrzeniu, jest jedynie mowa o mikrouszkodzeniach w centralnym układzie nerwowym, które być może miały wpływ na słabe wyniki Krystiana w nauce, jego problemy z koncentracją uwagi, czasem rozumieniem, bądź wykonaniem poleceń nauczyciela. Szkoła nie była powiadomiona o chorobie ucznia, a przed zajęciami na basenie instruktor nie żądał zaświadczeń lekarskich. Poza tym, w szkole nr 4 rzeczywiście nie prowadzono regularnych badań zdrowia dzieci, głównie z powodu braku etatowego lekarza (w siedemsetosobowej szkole jedynie badania w wybranych grupach wiekowych prowadziła społecznie matka jednego z uczniów, lekarka). Jednocześnie — Krystian, mimo pewnego opóźnienia w rozwoju fizycznym, nie należał do grupy dyspenseryjnej, co być może zwalniałoby go z zajęć na basenie. Ale to ostatnie jest tylko spekulacją myślową.

Wszystkie nasze dotychczasowe rozmowy zbliżają nas do kwestii najistotniejszej — przebiegu zdarzeń w czasie owych nieszczęsnych zajęć kultury fizycznej. Protokół powypadkowy i zeznania świadków tworzą w miarę pełną mozaikę z kilkoma jedynie brakującymi ogniwami. Szkoła podstawowa nr 4 mieści się przy ulicy Kingi. Jest to dość daleko od pływali, ale dzieci nigdy same nie pokonywały tej trasy. Za wsze na zajęcia szły pod opieką nauczyciela. Podobnie było 30 września. Wufestka przyprowadziła uczniów i oddała ich pod opiekę trenera M. Sama nie weszła do środka, ale wolno (!) jej było obserwować kąpiące się dzieci przez oszklone drzwi. Bywałom pływali przy Wyspiańskiego sytuacja jest znana (wewnętrzne przepisy obiektu nie pozwalały wejść w pobliże wody osobom nieodpowiednio ubranym). Trener przejął dzieci, rozpoczęły się zajęcia, na razie na płytkiej wodzie. W tym czasie instruktor miał się oddalić od dzieci, by koło trampoliny porozmawiać z jakąś panią. Potem rozpoczęła się kontrolowa na już nauka pływania strzałką na wodzie głębokiej. Lekcja dobiegała końca, z trampoliny dwukrotnie skoczyła trójka wybranych uczniów. Po czym instruktor odgwiżdzał koniec zajęć. Dzieci zaczęły powoli odchodzić w stronę przebieralni, zaś instruktor M. poszedł do swego „kantorka”. W międzyczasie wufestka, widząc swoje dzieci po skończonym pływaniu, również poszła do szatni, by jak zwykle pomóc ubierać się i suszyć włoski. Po dłuższej chwili zauważyła, iż jedno ubranko leży nie ruszone. Natychmiast zaalarmowała instruktora, który wespół z trenerem, opiekującym się następną grupą dzieci ze szkoły nr 13, i ratownikiem zaczął szukać chłopca. W tym czasie dzieci za uważyły, iż Krystian leży na dnie basenu. Już nie żył. Co było dalej, wiemy już.

Krystian przeżył całe zajęcia pływania. Utonął w okresie po odgwiżdżaniu końca zajęć i odejściu instruktora. Co zdarzyło się w czasie owej „luki”? Chyba nigdy nie dowiemy się prawdy stu procentowej. Gdy dzieci z II a kierowały się do szatni, Krystian siedział na brzegu basenu i nie chciał iść się ubierać. Postanowił sam nacieszyć się jeszcze wodą. Wszedł na słupkę i skoczył. Już nigdy nie wypłynął. Poza dziećmi z grupy czekającej na naukę pływania, nie było wokół żadnego dorosłego opiekuna.

Zabrakło przede wszystkim instruktora M.: doświadczony, z trzydziestoletnim stażem nauczyciel, nie dopilnował przejścia wszystkich dzieci — dodajmy, niespełna dziesięcioletnich, z basenu do szatni. Był to wynik nieuwagi, przemęczenia czy też rutyny? Wydaje się, że rutyna, która osłabiła czujność i pozwoliła utonąć małemu chłopcu.

Dnia 1 października instruktor M. przeszedł na emeryturę. Śledztwo w sprawie śmierci Krystiana K. jest w toku.

„Wybudować grób. To się tylko tak mówi. A kto nie budował, ten nie wie, co taki grób kosztuje. Prawie tyle co dom. Choć grób, mówią, też dom, tylko że na tamto życie. Bo wieczność nie wieczność, a swój kąt powinien człowiek mieć”.

(Wiesław Myśliwski: „Kamień na kamieniu”)

Podniosłeś słuchawkę telefonu: — Roman... — Halo, kto mówi? — spytałeś. — Roman... — Chciałeś powiedzieć, że masz na imię Konrad. Roman to twój szwagier, mąż Alicji. — Halo! — Halo! Kto mówi?! — zawołałeś. Roman... nie żyje. — Zrozumiałeś, że to głos twojej siostry Alicji. — Zartujesz? Wczoraj byłem z Romanem w „Ratuszowej” i... — Nie żyje? — przerwała ci. — Nie żyje?! — Na twarzy miałeś krople potu, piekły ci policzki, drżałeś. Alicja głosem urywanym informowała cię, że Roman pojechał rano do Nowej Soli po kafelki. Po południu miał malować okna. Zastąpił na ulicy. Ktoś wezwał karetkę. — Jezul Jezul Konrad, on nie żyje.

Nie wierzyłeś siostrze. Zadzwoniłeś do szpitala. — Umarł. Prawdopodobnie zawał — zrozumiałeś, choć było to trudne, bo Roman, chłop jak dąb, na zawal... Usiadłeś w fotelu, zapaliłeś klubowego i długo zastanawiałeś się, co robić? Natychmiast chciałeś jechać do Nowej Soli. — Wieczorem? — zatrzymała cię twoja żona i doradziła, abyś nie poszedł do Alicji. — Romanowi już nie pomożesz, a Alicji... — Muszę pomóc jej — powiedziałeś. Na czym ma polegać twoja pomoc, nie wiedziałeś.

Alicja nie odzywała się. Też milczała. Alicja głosem urywanym informowała, że Romana należy pochować. Najpóźniej w piątek. Zaparzyła mocnej herbaty, zrobiła kanapki. Nie jadłeś. Paliszesz klubowe i piłeś herbatę — Aliu, rano Konrad pójdzie do Zakładu Pogrzebowego, załatwi wszystkie formalności — powiedziała twoja żona.

ŚRODA. Poszedłeś tam, pytałeś chaotycznie, co należy zrobić. Dowiedziałeś się, że poki nie przyniesiesz aktu zgonu, Zakład Pogrzebowy nie zrobi kroku, by twój szwagier spoczął na cmentarzu zielonogórskim. — A... akt zgonu to...? — Urzędniczka wstała zza biurka podeszła do okienka i informowała cię, słuchałeś, co chwila przerywając jej. Powtarzała: — Z kartą zgonu pójść do Urzędu Stanu Cywilnego. Nie zapomnieć o dowodzie osobistym zmarłego. Poprosić o akt zgonu. Wrócić do Zakładu... — Urzędniczka przytaknęła. — Może ustalimy dzień i godzinę pogrzebu — podpowiedziałeś, pamiętając o tym, by jeszcze dziś rozesłać telegramy. — Brat zmarłego jest żołnierzem. Siły zbrojne, że telegram musi być potwierdzony przez Urząd, inaczej żołnierz nie dostanie przepustki. — Urzędniczka wysłuchała cię, była miła, zapewniała, że wszyscy będą powiadomieni. Najpierw musisz zdobyć kartę zgonu, potem akt, potem... Wyszedsz na ulicę, świeciło mocne słońce, było gorąco, zastanawiałeś się, czy rozumiałeś wszystko. Wróciłeś do Zakładu, urzędniczka powtórzyła, że bez aktu zgonu nie przyjmie twojego zgłoszenia. — Aha, aha. Akt zgonu wydaje lekarz? — Urzędniczka pokręciła głową. Ale jesteś nieporadny! Rozwiązujesz problemy konstrukcyjne, masz dyplomy patentowe, podejmujesz decyzje w imieniu załogi fabryki, a nie potrafisz załatwić takiej sprawy. Zawstydziliś się, przeprosiłeś urzędniczkę.

Szedłeś w stronę parkingu, nie wiedząc o tym, że kilkadziesiąt metrów od państwowego Zakładu Pogrzebowego znajduje się prywatny Zakład Organizacji Pogrzebów „Requies”. Gdybyś poszedł tam, byłbyś wysłuchany, obsługiwany i nie kłopotałbyś się o nic.

Lekarz, gdy powiedziałeś, że jesteś szwagrem zmarłego, potwierdził to, co już wiedziałeś. Zwiłki znajdują się w kostnicy. Przypomniałeś sobie prośbę Alicji: — Niech nie robią sekcji. — Lekarz poradził ci, abyś napisał podanie do dyrektora szpitala. Nim spytałeś, co pisać, powiedział, że Roman zmarł nagle, był młody, nie chorował, na pewno więc dyrektor twoje podanie załatwi negatywnie. Mimo to poprosiłeś o papier. Pisałeś: W imieniu rodziny zmarłego uprzejmie proszę o odstawienie od przeprowadzenia sekcji zwłok. Oświadczam, że rodzina nie będzie rościła żadnych pretensji co do sposobu leczenia mojego szwagra Romana. Podanie zaniósł do kancelarii szpitala. W szatni spytałeś o kostnicę. Starzec, zapewne szatniarz, ostrzegł cię, żebyś nie wchodził dalej niż w korytarz. Zapukałeś do jednych drzwi, drugich, trzecich Ciszka. Zawołałeś. Nikogo. Czekałeś może piętnaście minut. Wydawało ci się, że stoisz tu nie wiadomo jak długo. Zeszedsz do piwnicy. Czuliś woń formaliny. Nie chciałeś wchodzić, a jednak otworzyłeś drzwi. Wzduchnął korytarz stały wózek — Jest tu ktoś?! — zawołałeś. Ciszka Tkwiac w drzwiach myślała, że za chwile stanie przed tobą Charon w długiej szacie z kluczami i berłem w rękach. Przypomniała ci się obrządek Rembrandta. Powróciłeś do piwnicy. Wszedł mężczyzna ubrany na białą, z rąka przysłaniającą usta i nos, ręce miał w talku. Charon? Spytałeś o zwłoki Romana. Pielegniar-

ka, a może to była lekarka? powiedziała, że obcym wstęp wzbroniony. — Panie Marku... — skarciła mężczyznę. Nie wycofałeś się. Spytałeś, czy możesz zobaczyć Romana. Sprawdzić, czy nie za szła pomyłka. Pan Marek rozwarł ciężkie drzwi chłodni, wyciągnął wózek, odchylił przesłoner. — Roman... Dlaczego taki bład? — Zrozumiałeś, że tę wadę można usunąć. — Kiedy będę mógł przewieźć ciało na cmentarz? Do Zielonej Góry. Napisałem podanie, aby odstąpiono... — Pan Marek odprowadził cię do drzwi. Powiedział, że kartę wypełni lekarz dopiero po wykonaniu sekcji. Dziś po południu albo jutro rano przyjedzie z Zielonej Góry konsul-

przedsiębiorstwo świadczy wszelkie usługi pogrzebowe, jednak dziś dopiero czwartek. Czy w poniedziałek samochód będzie wolny, tego nikt nie wie. Może się zepsuje? Albo... Znowu nalegałeś. Daremnie. Jeśli w Zakładzie nowosolskim kupisz trumnę i krzyż, Nowa Sól przetransportuje zwłoki do Zielonej Góry. — Aha. I do poniedziałku będą leżały w kaplicy cmentarnej? — Dlaczego? Przecież przywieziesz je dopiero w poniedziałek. Do tego dnia muszą pozostać w Nowej Soli. Jest ciepło. Za rok może na cmentarzu komunalnym zakończy się budowa chłodni, wtedy... Teraz nie ma gdzie przetrzymać zwłok. Gdy-

za pieniędzmi. Myślisz o budowie wili. Roman budował. A... Machnąłeś ręką. Fotograf będzie punktualnie na cmentarzu. Za dwanaście ujęć, po trzy odbitki kolorowe, zapłaciłeś 5200 zł. Poszedłeś na postój bagażówek. — Kurs do Nowej Soli i powrót. Wyjazd w poniedziałek o ósmej. — Co będzie my wozili? — Zastanawiałeś się, czy powiedzieć prawdę. W tamtą stronę nic. Z powrotem trumnę. — Ze zwłokami? — Kiwnąłeś głową. — Panie, ja nie chcę... Zeby odebrali mi koncesję! Panie... — Druga, trzecia, czwarta, dzie siąta bagażówka. Wszędzie to samo: — Szukasz pan wariata? — Bardzo proszę. — Idź pan do Zakładu Pogrzebo-

te. Dopiero, gdy wytaszczyliście trumnę z Zakładu Pogrzebowego, spytałeś:

— Gdzie bagażówka? — Stoi. — Bagażówka? — powtórzyłeś. — Za takie pieniądze opłaci się łamać przepisy. Wróć, to załóż tabliczkę, namaluj numer. I tak już emulsja odlaża.

Pan Marek miał pełne ręce roboty. Podjeżdżały samochody, mężczyźni w ładowym trumny, wnosili je do sali piwnicznej, stawiali na katafalku. Po kilku minutach te same trumny, już cięższe, pan Marek pomagał przenieść do żuków, nys, tarpanów. — Ile to ludzi umiera — zauważył kierowca bagażówki. Teraz ty. Nie chciałeś wejść do sali, jednak musiałeś pomóc panu Markowi. Spojrzałeś na zimną twarz Romana. Wydawało ci się, że on oddycha. Śpi na wznak. Taki zaróżowiony na policzkach.

— Jakby zatrzymała nas milicja — kierowca wskazał głową na siebie — wieziemy trumnę. Zrozumiałeś. Nawet się uśmiechnąłeś. — Ile takie pudło kosztuje? — 18000 złotych. — Z krzyżem? — Plus 1500 złotych. — I za co to? — Byłeś już spokojniejszy. Jeszcze drżałeś, ale przestałeś myśleć o tym, kto przewiezie zwłoki na cmentarz. Choć nie wierzyłeś, prosiłeś Boga, by nie zatrzymał was patrol milicyjny. — Człowiek planuje, kombinuje, kurde mol... — Nie słuchałeś kierowcy, patrzyłeś tępo przed siebie.

Punktualnie o dziesiątej wszedłeś do kantorki obsługi cmentarza, poprosiłeś o zdjęcie trumny. — Na dwunastą?

— Tak. — Obcy — przypomniał sobie ten z pełnymi ustami. — Dasz pan na piwo, to się pomożę. — Dałeś 200 złotych. Może za mało?

— Ile taki pogrzeb kosztuje? — zagadnął cię właściciel bagażówki. Liczył, długo. — Bez stypy... 64000 złotych.

Ile taki pogrzeb kosztuje?

Edward Nowakowski

tant wojewódzki, wymienił nazwisko, i zdecydował. Dodał, abyś czekał cierpliwie. Drażnił cię zapach formaliny. Nie mógłbyś być lekarzem.

— Już wszystko? — Załatwiłeś? — ze zdziwieniem w oczach spytała twoja żona. Wzrokiem umknąłeś na stół, spostrzegłeś karteczkę z adresami najbliższych Romana. — Pogrzeb w piątek, o której? Zaraz musimy nadać telegramy. — Dyrgowała twoja żona. Alicja uderzyła w płaz. Przytuliła ją: — Bądź dzielna. — Wyjaśniłeś, żeby wstrzymać się z telegramami. Alicja jakby się ucieszyła. — Nie nie potrafisz załatwić — stwierdziła nie bez przyczyny twoja żona.

W butik kupiłeś czarne rajstopy, po resztę pojechaliście do przyzwoitego sklepu. — Słyszałem, że teraz chowa się zmarłych w tym, w czym chodzili, co lubili, co nie jest zniszczone... — zaczęła cicho. Alicja przerwała ci: — Roman musi mieć wszystko nowe. — Tak było dawniej — próbowałeś przekonać siostrę. Nadaremnie. W sklepie przy ratuszu kupiłeś: jasny garnitur, koszulę białą, krawat, chustkę do nosa, skarpetki i w „Centrum”; buty brązowe, pasek do spodni i kalesonki. Zapłaciłeś 10.870 złotych.

CZWARTEK. O dziewiątej byłeś w kostnicy. Pan Marek kazał ci czekać na kartę zgonu. Podeszły ci dwaj mężczyźni w mundurach, paliszesz dużo, chciało ci się palić. Zastanawiałeś się, czy zdążyć załatwić wszystko, by pogrzeb odbył się jutro. Najpóźniej w sobotę. Spytałeś pana Marka, czy ubierzcie nieboszczyka, dodałeś: — Umyje, ogoli i... żeby nie był taki bład? — Zgodził się. Za 3.000 złotych.

Z kartą zgonu pojechaliście do Urzędu Stanu Cywilnego. Kupiłeś znaczki skarbowe. — Roman już nie istnieje — powiedziałeś sam do siebie, wpatrując się tępych wzrokiem w akt zgonu.

W piątek wszystkie godziny mamy zajęte. Dopiero w poniedziałek o dwunastej. — Proszę pani, rodzina zmarłego... — skamlałeś, czując, że się rozplacasz. Myślałeś nie o Romanie, lecz o Alicji. Urzędniczka wstała zza biurka, głosem miłym, acz zdecydowanym informowała cię, że dzienne norma pogrzebów w wojewódzkiej, ponad stuosiemnastu Zielonej Górze wynosi cztery. Gdyby obsługa cmentarza była większa... Nikt nie chce być grabarzem. Wynagrodzenie niewielkie, a praca... Rozumiałeś, choć nie godziłeś się z tym, co ona mówiła. — W sobotę...? — podpowiedziałeś. — Dzień wolny od pracy. — Może jednak... — nalegałeś. — W sobotę robocze owszem. — Bardzo panią proszę. — Na próżno nalegałeś. W poczekalni czekali inni. Podałeś akt zgonu. Urzędniczka pisała: miejsce na cmentarzu, wykopanie grobu — 1200 zł, usługa żałobników — 1200 zł, usługa wózka — 950 zł. Usługa kaplicy — 500 zł, niesienie krzyża w czasie pogrzebu — 150 zł, wkopanie krzyża — 20 zł. Razem 4020 zł. Urzędniczka podpowiedziała ci, że Zakład świadczy inne usługi pogrzebowe. — Jakże? — spytałeś sądząc, że w Zielonej Górze jak na filmie amerykańskim: placisz i wspominasz zmarłego. A więc Zakład za dodatkową opłatą 200 zł pośredniczy w umieszczeniu ogłoszenia w gazecie, sprzedaży trumny, krzyża, tabliczki, wykonuje wieńce i dowozi je na cmentarz. Poprosiłeś o dwa wieńce: od wdy i rodziców Romana. Zapłaciłeś 9000 zł. — Co jeszcze? — zastanawiałeś się głośno. — Czy grabarz na czas, to znaczy do dwunastej wykopie grób? Żałobnicy będą trzeźwi, ogoleni, w czystych mundurach? Wózek... — Tak. — Już odchodził, edw urzędniczka spytała cię o przewóz zwłok na cmentarz. Trumna? Krzyż? — Sądziłem, że tym zajmie się Zakład? — Urzędniczka zmarszczyła czoło, myślała, nie wiedziała o czym, a ona myślała o tym, jak ci powiedzieć, że jeszcze trochę poodczysz, nim ciało twojego szwagra zostanie przewiezione do kaplicy przy cmentarzu. Poradziła ci, abyś o samochód poprosił w Zakładzie Pogrzebowym w Nowej Soli. Nie rozumiałeś, więc ona wyjaśniła ci, że owszem, zielonogórskie

byś wczoraj uzgodnił, że pogrzeb odbędzie się w piątek... — Prosiłem panią — przypominałeś. Tak, ona nie zaprzecza, ale wczoraj nie przyniosłeś aktu zgonu. Zasycałeś. Zakłąłeś. Zaczarowałeś się. Wyszedsz nie mówiąc do wladzenia.

W Biurze Ogłoszeń przyjęto cię zyczliwie. Obejrzałeś wzory nekrologów. Zapłaciłeś 2550 zł. Przed wyjściem upewniłeś się, czy na pewno wiadomość o pogrzebie Romana ukaże się w wydaniu sobotnim gazety.

Nie wiedziałeś, co powiedzieć żonie, gdy cię spyta, dlaczego pogrzeb dopiero w poniedziałek. Wymyśliłeś kłamstwo: — Jeśli dziś wysłamy telegramy, późnym wieczorem poczta doręczy je ad resatam. Rano wsiądą w pociąg. A jeśli nie zdąży dojechać, bo sama wiesz, jak chodzą pociągi? — Konrad ma rację — powiedziała twoja żona do Alicji. Pierwszy raz pochwaliła cię. Za pierwszy telegram zapłaciłeś 728 złotych. **PIĄTEK.** Po złej przespanej nocy wczesnym rankiem byłeś w Nowej Soli. Wierzyłeś, że pierwszy zamówisz samochód. Pomyliłeś się. Zakład świadczy wszelkie usługi pogrzebowe, łącząc z transportem zwłok do dowolnej miejscowości w kraju. Jednak, przekonywano cię, ciało Romana powinien przewieźć Zakład zielonogórski. Powie działeś, że byłeś tam, lecz oni nie mogą, mają tyle roboty... Pomyślałeś o ła pówce. — Trumnę i krzyż proszę kupić u nas. Są mocne. — Co ja mam po cząć? — Wtedy dowiedziałeś się, że nie którzy wynajmują bagażówki. Oczywiście nielegalnie. Legalnie nikt się nie zgodzi. Ktoś podpowiedział ci, abyś nie żałował pieniędzy. Są właściciele bagażówek, którzy za pieniądze... Zrozumiałeś to dosłownie.

Baleś się spotkania z rodzicami Romana. Do Alicji ubranej na czarno już się przyzwyczaiłeś. Jak i do tego, że nigdy już nie usłyszysz głosu Romana. Zastanawiałeś się, co im powiesz, gdy spytają cię, dlaczego ty, magister i wy nalazca, jesteś taki niezaradny. Nie pa sujesz do tego świata. — U nas ciało chowa się na trzyci dziły — powiedziała matka Romana i spojrzała na swoje go męża, bladego, suchego na kościstej twarzy. Schorowanego. — Kto zmarłgo nie pochowa przed niedzielą, niezadługo bydzie na drugim pogrzebie. — Teraz ty zerknąłeś na ojca Romana. Chciałeś coś powiedzieć, nie wiedziałeś co. — Na wsi — zaczęła twoja żona — przestrzega się zwyczajów chrześcijańskich. W mieście... — urwała we właściwym momencie. — Konrad, trze ba pójść do księdza.

Nie pytałeś Alicji, czy pogrzeb ma być świecki, czy katolicki. Roman nie chodził do kościoła. Nie należał do partii. Jak i Alicja. Byłeś przekonany, że na tym pogrzebie ksiądz jest zbędny. Dlaczego twoja żona każe ci iść do księdza? Alicja nie nie mówi. Pewnie rodzice Romana wyrazili takie życzenie, a Alicja nie sprzeciwiła się. Przypomniałeś sobie te pogrzeby świeckie, które prowadził mistrz ceremonii. I te bez mistrza. A także te, gdzie ksiądz mówił „Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie”. — Ile płać się księdzu? — U nas dają po trzy tysiące — rzekła matka zmarłego. — A u nas? — Twoja żona wzruszyła ramionami.

Ksiądz spytał cię, czy Roman mieszkał w jego parafii. Przytaknąłeś. — Ile płać? — Co laska. — Położyłeś przed nim 3000 złotych i dodałeś: — Taksówkę zamówię na wpół do dwunastej. Za wiezie księdza na cmentarz i odwiezie do domu.

SOBOTA. Kupiłeś gazetę. Była w niej wiadomość o pogrzebie Romana. A więc to prawda. Dotąd jawę traktowałeś jak sen. Teraz czytałeś... pogrzeb w poniedziałek o godzinie dwunastej na cmentarzu komunalnym przy ulicy Wrocławskiej. Pogrzeźni w smutku żona, rodzice, brat i przyjaciele. Miałeś lzy w oczach. Drżałeś. Odchodzą twoi rówieśnicy. Skończyłeś czterdzieści lat. Nigdy nie chorowałeś. Nie leżałeś w szpitalu. Nie byłeś w sanatorium. Jak Roman. Rzuć palenie. Nie pij. Oszczędzaj się. Nie denerwuj się. Odżywiaj się racjonalnie. Brrr. A ty osiem godzin siedzisz w biurze palisz, pijesz kawę. Wracasz do domu, rozkładasz projekty na stole, i znowu, ciagle gonisz

Zenon Czarnecki

☆ ☆ ☆

ten napis na nagrobku
w ostrym zgrzycie dłuta
będziesz żył
w pamięci kamienia
nie oczekuj skromnej modlitwy
nie proś o żebracze westchnienie
ochłap rzucony mimochodem
poniżej rani
wiesz że prawda jest inna
za muślinem faryzejskiej pokory
to daje wielkość



Rys.: RYSZARD RYCKOWSKI

5.

Pierwszy raz to był hotel na rue Valette, spacerowali bez celu zatrzymując się po starych bramach, gorzki jest poobiedni deszcz i trzeba było coś wymyślić przeciw temu lodowatemu kurzowi, przeciw płaszczom pachnącym gumą. Maga przytuliła się do Oliveira, spojrzeli po sobie, HOTEL, stara za brudnym kontuarem powitała ich ze zrozumieniem, coś innego można było w taką pogodę? Kulała, strach było patrzeć, jak zatrzymywała się na każdym stopniu, żeby podciągnąć chorą nogę, znacznie grubsza od tamtej zdrowej, jak powtarzała ten manewr przez cztery piętra. Pachniało mydłem toaletowym, zupa, na dywan w przejściu ktoś wylał jakiś niebieski płyn, który rozlał się w formę skrzydeł. W pokoju były dwa okna, czerwone firanki porwane i pełne lat, do miejsca, gdzie stało przykryte żółtą kapką łóżko, wilgotne światło przenikało niby anioł.

Maga postanowiła odegrać rodzajową scenę, usiadła koło okna, udając, że wygląda na ulicę, podczas gdy Oliveira sprawdzał zasuwkę. Widać miała jakiś z góry przygotowany schemat tych spraw, a może zawsze układała jej się podobnie, najpierw zostawiała się torebkę na stole, szukała papierosów, patrzyła przez okno, paląc zaciągając się głęboko dymem, robiło się jakas uwagę na temat tapet, zostawiając chłopu potrzebny czas oraz inicjatywę.

W jakiejś chwili oboje wybuchieli śmiechem; to było zbyt głupie... Złota kula, cisnęła w kąt, pozostała pod ścianą niby nieruchoma kula.

Nauczyli się porównywać kapy, drzwi, lampy, firanki. Pokoje w piątym arrondissement były lepsze niż w szóstym, w siódmym nie mieli szczęścia, zawsze coś im przeszkadzało, pukanie do drzwi, jakieś huk w sąsiednim pokoju, ponuro wyjące rury. Już wtedy Oliveira opowieział Madze historię Troppmanna, słuchając tułając się do niego, będzie trzeba przeczytać opowiadanie Turgieniewa, nie do wiary, ile przez te dwa lata trzeba będzie przeczytać (dlaczego akurat dwa, nie miała pojęcia); innego dnia to był Petiot, innego Weidmann, jeszcze innego Christie, hotele prawie zawsze zachęcały go do mówienia o zbrodniach, ale i Magę ogarniały nagle takie powagi, z oczami utkwionymi w sufit informowała się, czy malarstwo sjeneskie było aż tak wspaniałe, jak twierdził Etienne, czy nie należało zacząć oszczędzać na adapter i nagrania Hugo Wolta, którego czasami nuciła, przerywając w połowie, zgubiona i zła.

Oliveira lubił sygnalizować z Magą, bo nie było dla niej ważniejszej rzeczy, jakkolwiek, w jakiś nie zrozumiały sposób, znajdowała się równocześnie niejako pod poziomem własnej rozkoszy, dosięgała jej na krótką chwilę zaledwie i czepliła się jej rozpaczliwie, chcąc ją przedłużyć — to było, jakby ktoś budząc się, poznał nagłe swoje prawdziwe imię — po czym znowu opadała w strefę pełną mroku, co zachwycało Oliveirę, nie ufającego doskonałościom. Maga natomiast rzeczywiście cierpiała, wracając do swoich wspomnień, do myślenia o tym, o czym podświadomie potrzebowała, choć nie chciała myśleć, wtedy trzeba było całować ją, podniecać do dalszej gry, a kiedy już inna, już pogodzona, nagłe wykryła pod nim, porwała go, oddając mu się frenetycznie, jak zwierzę, z oczami uciekającymi, z konwulsyjnie wykręconymi rękami, mityczna i dzika, statua tocząca się z góry, szarpająca czas pazurami wśród czkawki, wśród niekończącego się jęku. Któregoś nocy wbiła w niego zęby, ugryzła go w ramię do krwi za to, że oddał się od niej, trochę zagubiony, i wtedy powstał między nimi niejasny pakt bez słów: Horacio poczuł, że Maga oczekuje od niego śmierci, może nie ona, ale coś w niej, co nie było jej własnym przebudzeniem „ja”, a raczej jakąś ciemną formą, żądającą powolnego wbijania wenoża, unicestwienia, które by — podczas gdy leżała na wznak — zostało zapaść się gwiazdom na niebie, a wszechświat zwrócił pytanie i przerażeniem.

Tylko tamtym razem, niby mityczny matador, dla którego zabijać znaczyło zwracać byka morzu, morze zaś niebu, zadziwił ją w czasie diu giej nocy, do której nie wracał więcej w rozmowie, zmienił ją w Pazyfale, otworzył i posładi jak chłopca, upokorzył jak najgłędniejszą z kurw, wznosił do gwiazd i trzymał w ramionach pachnącą krwią, kładąc jej pięć nasienie ciekające po ustach naby wyzwanie rzucone Logosowi, wysycił każdy cień z jej brzucha, z jej bioder, a potem wznosił się do twarzy, aby namaszczyć ją nią samą, w tym ostatnim akcie wtajemniczenia, które tylko mężczyzna może dać kobiecie. Rozjął ją do ostatka skórą, włosami, śliną, odcierał resztę jej wspaniałych sił, cisnął nią o poduszki, o prześcieradła, i usłyszał, jak płacze ze szczęścia z twarzą przy jego twarzy, którą nowy papieros wydobywał z mroku hotelowego pokoju.

Później zatroskał się, że poczuje się zbyt obdarowany, że igraszki wzniosą się na szczybel świętości. Przede wszystkim obawiał się tej spe cyficznej formy wdzięczności, która niepostrzeżenie zmienia się w psie przywiązanie. Nie chciał, żeby niezależność — jedyny ubiór pasu jący do Magi — zagubiła się w skwapliwej kobiecości. Uspokoił się, kiedy Maga, przenosząc się na płaszczyznę kawy i bidetu, okazała swoje kompletne zagubienie: w zbrutalizowaną tej nocy bez reszty, w otoczoną przez porowatą, pul sującą, wszechogarniającą przestrzeń, pierwsze jego słowa powinny były uderzyć jak bicie; tym czasem powrócił jej w sutę łóżka (obraz wzrastającej konsternacji, pragnącej zneutralizować się za pomocą uśmiechów i niepewnych nadziei) w pełni go zadowolili. Przyjawszy, że jej nie ko cha, przyjąwszy, że pragnienie wyczerpie się (bo nie kocha jej, a pragnienie się wyczerpie), postanowił unikać wszelkiego namaszczenia w tych igraszkach.

W ciągu dni, tygodni, miesięcy każdy pokój hotelowy i każdy plac, każda poza miłostka i każdy świt w kafejce koło hal stały się okrutnym cyrklem, pełną zimnej przytomności, wyważoną acz subtelną operacją.

Na dalszym etapie tej drogi okazało się, że Maga, rzeczywiście czekała na śmierć z jego ręki, śmierć, która miała być śmiercią feniksa, do puszczeniem jej do obrad filozofów, zylili rozmów w Klubie Węzła; Maga chciała utożyc się, chciała być wy-kstał-co-na. Horacio był wy-marzonym, powołanym, wybranym na kapłana; uznawszy, że na planie rozmowy nie byli w sta-

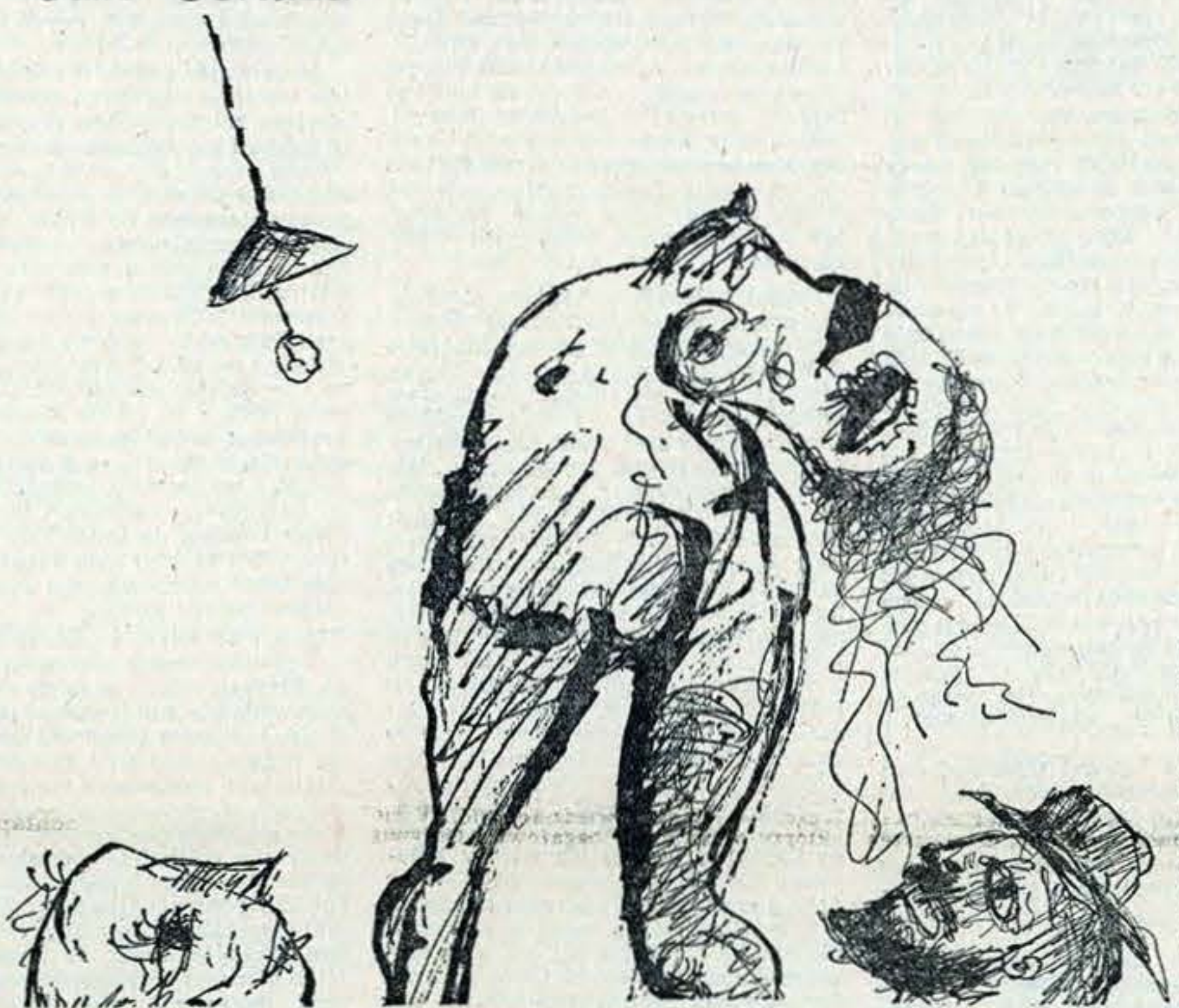
nie się spotkać, tak byli różni i tak odmienne sprawy ich zajmowały (to wiedziała, to rozumiała aż nadto dobrze), jedynie w śmierci na prawdę mogli być razem, jedynie w śmierci pośrodku miłości miała szansę mu sprostać; tam, pod niebem hotelowych pokoi, byli równi, byli nadzy, i tam dopiero mogło dokonać się prawdziwe zmartwychwstanie feniksa. Kiedy dławiąc ją rozkoszą, patrzył na nią ekstazyjnie jakby dopiero teraz ją pojmował, dopiero teraz ją przyjmował jako swoją, przeciągał ją na swój brzeg.

7.

Dotykam twoich ust, palcem dotykam brzęgu twoich ust, rysuję je tak, jakby wychodziły spod mojej ręki, jakby po raz pierwszy twoje usta miały się otworzyć, i wystarczy, bym zamknął oczy, aby zmazać to wszystko i zacząć od nowa; za każdym razem tworzę usta, których pragnę, usta wybrane spośród wszystkich, w absolutnej wolności prze-

Gra w klasy

Julio Cortazar



RYSZARD RYCZKOWSKI

ze mnie wybrane, aby moja ręka narysowała je na twojej twarzy, a które przez niezrozumiały dla mnie przypadek dokładnie odpowiadały twoim ustom, uśmiechającym się pod moimi palcami.

Patrzysz na mnie, patrzysz na mnie z bliska, jeszcze bardziej z bliska oczy powiększają się, zbliżają do siebie, nakładają jedno na drugie, cyklopi patrzą sobie w oczy łącząc oddechy, usta odnajdują się i łagodnie walczą gryząc się w wargi, leciutko operując języki o zęby, igrając wśród tego terenu, gdzie przelewa się tam i z powrotem powietrze, pachnące starymi perfumami i ciszą. Wtedy moje ręce zanurzają się w twoich włosach, pieczęć powoli głąb twych włosów, podczas gdy całujemy się, jakbyśmy mieli usta pełne kwiatów czy też ryb o szybkich ruchach, o świeżym zapachu.

I jeżeli całujemy się aż do bólu — jest to słodkie, a jeżeli dusimy się w krótkim, gwałtownym, wspólnie schwyconym oddechu — ta sekundowa śmierć jest piękna.

Jedną tylko jest ślina, jeden zapach wojrzałego owocu, kiedy czuję, jak drżysz koło mnie naby księżyc odbijający się w wodzie.

36.

(...) Clochardka zbudziła się ze snu, w którym ktoś powtarzał jej bez przerwy: „Ca suffit, conasse” i zrozumiła, że Celestyn zabrał się w środku nocy wraz z dziecinnyim wózkem pełnym puszek sardynek (w nie najlepszym stanie), które po południu dostała od kogoś w dzielnicy Marais. Toto i Lafleur spali jak krety, ponakrywani workami, a nowy siedział na kamiennej ławce, z papierosami w zębach. Światło.

Clochardka pozejmowała z siebie kolejne nakłady „France-Soir”, którymi była nakryta, i chwilę drapała się w głowę. O szóstej dawali gorącą zupę na rue du Jour. Celestyn pewnie zjawi się na zupie, to będzie mogła odebrać mu sardynki. Jeżeli jeszcze nie opchnął ich Piponowi albo La Vase.

— Merde — powiedziała zabierając się do skomplikowanego wyczynu podniesienia się z ziemi. — Y a la bise, c'est ca!

Owinął się czarnym paltem, które sięgało jej do kostek, podeszła do nowego. Nowy zgodził się z nią, że zimno było chyba jeszcze gorzej niż policja. Kiedy podawał jej zapalonego papierosa, przeszedł jej przez myśl, że skądś go zna. Nowy powiedział, że on także ją skądś zna, i oboje bardzo się spodobało, że rozpoznali się o tak wczesnej porze. Usiadłszy na sąsiedniej ławce, uznała, że jeszcze jest za wcześnie, żeby iść na zupę (...)

— O tej porze nie jest zimno — mówiła clochardka chcąc mu dodać kurazu. — Pójdź zobaczyć, czy Lafleurowi nie zostało trochę wina. Wino jakoś pomaga strawić noc. Celestyn zabrał mi moje dwa litry, no i te sardynki... Nie, nie

Sceny miłosne w literaturze pięknej

mu nie zostało. Pan jest porządnie ubrany, mógł by pan iść i przynieść litra od Habeba. I bułkę, gdyby wystarczyło forsy. — Nowy podobał się jej, jakkolwiek w gruncie rzeczy wiedziała, że to nie jest żaden nowy, był porządnie ubrany i mógł spokojnie iść i oprzeć się o bar u Habeba. I pięć sobie jedno pernod za drugim, i klienci nie protestowali, że im śmierdzi albo, że im jeszcze tam coś.

Nowy w dalszym ciągu palił, nieuważnie przytakując, ale myślał, był gdzieś indziej. Znał ma twarz. Celestyn od razu by go poznał, bo Celestyn co do twarzy...

oparć ramionami zapalił sobie, zadowoleni. Młodość ustępowała, nie zwyciężona, ale upokorzona, oczekiwała ze schyloną głową; można było zacząć myśleć o czymś innym. Emmanuèle gadała przez cały czas, między jedną a drugą czkawką, zwracała się sama do siebie z solennymi przemowami, po macierzyńskiej karcia Celestyna — Zjawę, wypominała sardynki, twarz jej rozświecała się z każdym pociągnięciem papierosa i Oliveira widział placki brudu na czole, grube, ociekające winem wargi, triumfalną przepaskę syryjskiej bogini podeptanej przez nieprzyjacielską armię, kamienną głowę toczącą się w kurzu, pełną brudu i krwi, ale zdobną w odwieczny czerwono-zielony diadem. Wielką Macierz porzuconą w pył, podeptaną przez pijane żołdactwo, dla rozrywki oddające moc na jej okaleczale piersi, aż w końcu któryś z żołnierzy, podniecony wrzaskami towarzyszy, ukląkł nad upadłą boginią z wnieśionym fallusem i onanizując się o marmur prysnął spermą w jej oczy, z których ręce oficerów wydłubały już drogie kamienie, w otwarte usta — przyjmując upokorzenie jak ostatnią ofiarę przez stoczeniem się w niepamięć. I było zupełnie naturalne, że w mroku ręka Emmanuèle trąciła ramię Oliveiry, na którym, w końcu poufale spoczęła, podczas gdy druga szukała butelki, i słysząc było odgłos popijania i zadowolone sapanie, było zupełnie naturalne, że wszystko stawało się orlem i reszką, przeciwieństwami jako jedyną możliwą formą przeżycia. (...)

Po czym zagłębił się w innych sprawach, Emmanuèle opowiedziała mu o topielicy, którą Celestyn wiozł na wysokości Pont de Grenelle, i Oliveira zapragnął dowiedzieć się, jakiego koloru miała włosy, ale Celestyn nie widział nic, poza nogami, które trochę sterczały z wody, bo zmżył się stamtąd, zanim policja swoim przekiętym zwyciężem zabrała się do przesłuchiwania wszystkich obecnych. A kiedy już druga butelka była na wykończeniu, zrobiło się im bardzo wesoło. Emmanuèle wyrecytowała fragment z „La mort du loup”, Oliveira zaś wprowadził ją z grubszą w sekcję martwiny sierro. Przez plac przejechały jakieś ciężarówki, wydając odgłosy a la Delius. ... Ale nie było sensu mówić o Deliusie z Emmanuèle, która jakkolwiek wrażliwa na sztukę, wolala się wyrażać gestami. Na przykład teraz ocierała się o Oliveirę, żeby się rozgrzać, i głaskała mu ramię, podśpiewując pasaż z oper i mrucząc świnstwa pod adresem Celestyna. Sciskając papierosa tak mocno, że prawie stawał się częścią ust, Oliveira słuchał jej, zezwalał na przytulanie się, powtarzał sobie chłodno, że nie jest nikim lepszym niż ona i że w najgorszym wypadku zawsze pozostaje mu Heraklitowa kuracja. Może prawdziwym przesłaniem Ciemnego było właśnie to, czego nie napisał, zezwalając, aby głos uczniów przekazał legendę, po to, by kiedyś ktoś o wrażliwym uchu właściwie ją odebrał. Bawilo go, że po przyjaźni i niesłychanie matter of fact* Emmanuèle rozpinała go, podczas gdy on zastanawiał się, że może Ciemny zanurzył się w gnój po szyję wcale nie będąc chorym, nie mając żadnej puchliny, po prostu stwarzając metaforę, której jego świat nie byłby mu przebaczył w formie sentencji ni też lekcji, a która, w ten sposób, przemyciła się przez linie czasu i połączyła w jedno z teorią, zaledwie trochę zenując drobiazg obok wstrząsającego diamentu panta rhei barbarzyńska terapeutka, którą nawet Hipokrates byłby potępił, tak jak ze względu na higienicznych byłby również potępił fakt, że Emmanuèle powoli przewalała się na swego niedugę, pijanego przyjaciela i poplamionym taniną językiem pokornie lizala mu członkę, podtrzymując palcami jego zrozumiałą wąłość, gaworząc doń jak do oseska czy też kota, całując obojętną odbywającym się ponad jej głowę kontemplacjom i zagłębiając w funkcję, która — aczkolwiek pozbawiona przyszłości — pochodziła ze współczucia i chęci, aby nowy był zadowolony ze swojej pierwszej nocy bezdomnego wiozł, żeby może drażniąc tym Celestyna troszkę się w niej zakochał, żeby zapomniał o tym, co mamrotał w swoim barbarzyńskim języku, podczas gdy obsuwał się coraz niżej i niżej, i zbliżając się do mety, wreszcie minął ją z westchnieniem, kładąc rękę na włosach Emmanuèle i wierząc przez ćwierć sekundy (choć to musiała być pika, że to włosy roji, że raz jeszcze Półka pocyniała się nad nim wśród meksykańskich ponchos, pocztówek Klee i „Kwartetu” Durrella, ażeby dać mu rozkosz i samej tę rozkosz z zewnątrz odbierać, leżąc obok, uważna, analizująca i obca, aż do chwili gdy ona także zaczęła żądać swojej części i przytulać się do niego drząc, błagając, żeby ją wziął i maitretował, z ustami poplamionymi jak syryjska bogini jak Emmanuèle, która właśnie podnosiła się, tarmoszona przez policjanta, i gwałtownie śladła, mówiąc: „On faisait rein, quoi...” — i nagle w szarości, która nie wiadomo skąd wypłynęła pasaż, Oliveira otworzył oczy i zobaczył — sam groteskowo porzpinany — obok swoich nóg nogi policjanta, butelkę wina, która potoczyła się kopniętą, drugi kopniak w udo, wściekle uderzenie w łeb Emmanuèle, która skuliła się jęcząc, i sam nie wiedząc jak znalazł się na kłęczka (jedyną pozycję odpowiednią), aby corpus delicti, współdziałając z jego wysiłkiem, wręcz cudownie się zmniejszył i znalazł z powrotem w spodniach, bo przecież nie stało się nic, ale to absolutnie nic, ale jak tłumaczyć to policjantowi, który ciągnął ich do stojącej na placu karetki, jak wytumaczyć Babs, że inkwizycja to jednak było co innego, a Osipowi, przede wszystkim Osipowi, że wszystko się zalałwi i że jedyną rzeczą przyzwoitą było cofnięcie się, aby nabrać rozpędu, pozwolić sobie na upadek, żeby potem, może, móc się podnieść, Emmanuèle, po to, żeby potem, może... (...)

* rzeczowo

** Nie nie robiłaby naprawdę...

(Fragmenty powieści Julio Cortazara pt. „Gra w klasy”, w przekładzie Zofii Chadyńskiej, pochodzą z tomu wydanego w 1985 r. przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie)

W niniejszym szkicu zajmę się trzema problemami: co kierowało uwagą Joachima Lelewela ku problematyce śląskiej, w jakich kategoriach i z jakim nastawieniem umował on dzieje Śląska, jak rozwiązywał niektóre ważniejsze problemy owych dziejów?

Sądzę, że ku problematyce Śląska uwagę Lelewela kierowały głównie jego ogólne, teoretyczno-historyczne przekonania. Zgodnie z nimi — pierwotni mieszkańcy Śląska współtworzyli tę zbiorowość ludzką, która wskazywała na autochtonizm Słowian. Joachim Lelewel twierdził bowiem, iż „tak wielki i liczny naród jak słowiański nie przychodzi, tylko na miejscu wyrosta”. Za pierwotną siedzibę Słowian uznawał obszar położony między Odrą na zachodzie, Niemnem, Dźwiną, Bugiem i Prypietą na wschodzie oraz Dniestem i Dunajem na południu. Zdaniem Lelewela — Słowianie ci, powodowani głównie najazdem Awarów, w ciągu stu kilkudziesięciu lat (od około połowy VI wieku — K.B.) rozsiadli się na wszystkie strony. W ten sposób osiągnęli, a w niektórych miejscach nawet przekroczyli, linię Łaby. Lelewel dopuszczał możliwość przechodu czy niekiedy czasowego pobytu na ziemiach między Odrą a Wisłą innych ludów, w tym germańskich, uważając je jednakże za przemijające i bezśladowe.

Słowiańskość to jedna z centralnych kategorii historycznych, a zarazem politycznych Lelewela. Wspólne cechy wszystkich ludów, narodów słowiańskich, odnosił badacz do całej ich dziejowej i geograficznej rozciągłości. Stwierdzał, że na obszarach stanowiących pierwotne siedziby Słowian, a więc położonych na wschód od Odry mieszkał „przed 2000 lat i więcej daleko (...) naród ten sam, który i dotąd mieszka”. O nauce, jaką krzewił w podkrakowskiej wsi bohater książki Izabelli Czartoryskiej „Pielgrzym w Dobromi-” Lelewel napisał w 1819 roku: „Pójdź dzieło jego (tj. Pielgrzyma — K.B.) po tysiącach rękach, zrozumieć rozumie nad Odrą i Pregolą, jak w Tatrach i na mazowieckich piaskach”. Tego rodzaju przekonania znalazły swój wyraz w licznych odczasach Lelewela, kierowanych do ludów i narodów słowiańskich.

Z kategorii słowiańkości wynika u Lelewela kategoria narodu. Śląsk, podobnie jak inne ziemie nadodrzańskie, także nadbałtyckie, traktował Lelewel jako integralną część polskiego terytorium narodowego, zarówno w rozpoznawanej przeszłości, jak i w projektowanej przyszłości. W tym też duchu kształtował narodową świadomość współrodaków.

W 1860, a więc na rok przed swoją śmiercią, Lelewel zaprojektował zorganizowanie w kraju obchodów 1000-lecia objęcia władzy w Polsce przez Piastów. Miejsce obchodów miało być Gniezno, określane przez Lelewela — „Polonii gniazdem”, i Kruszwica — „kolebka pierwszych państwa związków”. Do obchodów radził autor wzywać mieszkańców „z obu stron Wisły i Pilicy, nad odrzańskich Ślązaków z Cieszyńska, Opola, ze Swidnicy, Legnicy, Wrocławia i krew swoją młotującą Łużyczan i Kaszubów z Gdańszczanami”. Wobec zakazu ze strony pruskich władz państwowych, a także kościelnych, obchody państwowej rocznicy przeprowadzone zostały tylko częściowo. Wzięło w nich udział około 200 osób. Mimo to Lelewel pisał wówczas do Wielkopolan: „Uderzy liście na pobudkę dzieł przed sobą, w której po dziesięciu upłynionych wiekach stawiać przyjdzie pomnik, dla któ-

rego przestrzeń Polski stanie się ciasną”.

Niewątpliwym wpływ na podejmowanie i zgłębianie przez Lelewela problematyki śląskiej wywarł Jerzy Samuel Bandtkie — pionier polskich badań naukowych nad dziejami Śląska. Obaj uczeni pozostawali w bliskiej znajomości i na ukowej łączności. Okolicznością, która również rodziła pewne dodatkowe zapotrzebowanie na problematykę śląską, było utrzymywanie przez Lelewela szcze-gólnie żywej współpracy z wieloma wrocławskimi, poznańskimi i lipskimi wy-dawcami jego dzieł.

JOACHIM LELEWEL A ŚLĄSK

Kazimierz Bartkiewicz

Ziemie śląskie, a także pomorskie, współtworzące w wiekach średnich polski organizm państwowy, traktował Lelewel jako szczególnie cen-ne i znaczące. Nazywał je „najwybor-niejszymi”, „najpiękniejszymi”, „znakomitymi”. Wobec polskiego stanu posiadania nad Odrą i Bałtykiem zajmował stanowisko zdecydowanie obronne. Z uznaniem odnosił się do wszelkich po-czynów strony polskiej stan ten umac-niających: działań Bolesława Chrobrego, Bolesława Krzywoustego czy Władysława Łokietka. Krytykował zaś prze-jawiane słabości, zaniedbania, popełnia-ne błędy, ponoszone straty. Negatywnie odnosił się do tych sił i ogniw niemieckie-go świata, które osłabiały i uszczupla-ły Polskę. Pisał więc o „okrutnym”, „wy-rodnym” zakonie krzyżackim, sprawują-cym na wyludzonych i zagarniętych zie-miach polskich „pełne niesprawiedliwość ci panowanie”, o „domu rakuskim (...) nie znającym kresu w łakomstwie wzro-stu szerokiego i samowładnego panowa-nia”, o „niecznych”, „podstępnych” i „zdradliwych” margrabiach branden-burskich, którzy „chwytali cudze ziemie jak łakomcy i nienasycone lichwiarze” (czego ofiarą padła w połowie XIII wieku rów-nież Ziemia Lubuska), wreszcie o „chci-wości zdobywcy Fryderyka II”, przejawia-jącej już w pierwszym roku swego pa-nowania (1740) w „zajeździe Śląska”.

W 1848 roku Lelewel skierował dwa pisma do parlamentu niemieckiego we Frankfurcie nad Menem, w których we-zwał „nieprzychylnych nam Niemców” do opamiętania w stosunku do sprawy odbudowy niepodległego państwa pol-skiego.

Z wywodów Lelewela dotyczących naj-dawniejszych dziejów Śląska wynika, iż wewnątrzsłowiański ruch pewnego przemierzania się i stopniowego osad-niczego zakorzeniania postępował od środowiska dzisiejszej Polski, narasta-jąc w górę i w dół obydwu największych jej rzek, Odry i Wisły. I tak, jak Polanie czy Pomorzanie, którzy przy-jmowali swoje nazwy „od miejsc, gdzie osiedli”, podobnie „Ślężanie (...) obiera-jąc sobie leżę, leg, z legu swego, rzecze (Ślęzy — K.B.) dać, sobie dobrą nazwę mogli”.

Jak rozwiązywał Lelewel zagadnienie pierwotnej przynależności politycznej Śląska? Dobrym wprowadzeniem w to zagadnienie jest polemizująca z lelewelowską wypowiedź J.S. Bandtkiego, au-tora wielokrotnie wznawianych i wyda-wanych we Wrocławiu od 1810 roku „Dziejów Królestwa Polskiego”. „Podług jednych — pisał Bandtkie — Wielka i Małopolska, Śląsk, Mazowsze i Kujawy pewno już od Mieczysława I (Miesz-ka I — K.B.) należały”. Przychylając się do takiego zapatrywania — doda-wał: „Jeden i ten sam język polski w Małopolsce i na Śląsku, co i w Wielko-polsce panuje, co zdaje się potwierdzać mniemanie, jakoby w jednym i tym sa-mym czasie Królestwo Polskie w tych krajach powstało”. Jednakże przytaczał także i nieco odmienne zdanie, własne zdanie Lelewela: „Atoli Joachim Lelewel uczony w historii ojczystej badacz

O wiele pełniej niż dawniejsi historycy polscy wyjaśniał Lelewel problem utraty Śląska w pierwszych dziesięcioleciach XIV wieku. Wydaje się, że za pierwszoplanową jej przyczynę przy-jmował podział kraju, legalnie zapoczą-tkowany przez Bolesława Krzywoustego jego testamentowym postanowieniem z 1138 roku. Odtąd „książęta śląscy, wielkopolscy i mazowieccy z kujaw-skimi, rozradzając się (...) drobniej” i wzajemnie się zwalczyli. Nastąpiło nie-bezpieczne „rozzerwanie Lechii”. Inna z przyczyn to odsunięcie książąt śląskich od prawa do korony. Zdaniem Lelewela — był to „pierwszy krok do wieczystej Śląska utraty”. Li-nia książąt śląskich „cierpiała na tym (...) przez to ukrzywdzona została”. Książęta śląscy, których „boliło zawsze (...) odsunięcie od monarchii, własną krew sobie niechęć”. „Wzięcie korony”

w zniszczone wchodziły porządki, ale przez to prawo ziemskie polskie niesły-chanie doznawało uszczerbku; miasta szczególnie stawały się jemu niechętnie, przez napływ cudzoziemców, Niemców, niemieckie i ducha narodowego tracące”.

W o wiele większym stopniu niż hi-storycy polscy okresu Oświecenia Lelewel odczuwał winę za utratę Śląska Ka-zimierza Wielkiego. Utrzymywał, że władca ten rozpoczynał i sprawował rządy w ogólnie korzystniejszej sytuacji aniżeli jego ojciec, Władysław Łokietek, którego wyżej cenił. Zwłaszcza o inte-resującym nas zakresie polityki Ka-zimierza Wielkiego pisał, iż ten „...chybił po części, ojca i narodu życzeń”, nato-miast „więcej zgodnie z życzeniem ojca i narodu wywiązał i naprawiał stan państwa”. Według Lelewela — ostatni Piast „znalazł kraj dość zamożny i skarb w najlepszym stanie, ale kraj mocno umniejszony. Szukał jednak po-koju”. Historyk przyznawał wprawdzie, że „obejmując ojca władzę, znalazł się między obłądną króla Jana Luksembur-skiego i interesowaną dworów andegawen-skiego przyjaźnią”, ale równocześnie za-rzucił Kazimierzowi Wielkiemu zbytnią łatwowierność wobec owych sąsia-dów, „którzy go oszukiwali pośredni-cząc we wszystkich jego ugodach za-wartych na szkodę państwa”. Za taką uznawał przede wszystkim ugodę wy-szechradzką, pozostawiającą Śląsk kró-lowi czeskiemu, a wstępnie także Pomorze Gdańskie Krzyżakom.

przez Władysława Łokietka w 1320 roku bardzo „tknęło” książąt śląskich. W tej sytuacji — konkludował Lelewel — „niepodobna było wstrzymać odpadania zaszłości i niechęć rozdalonych ksią-żąt (śląskich — K.B.)”.

„Rozzerwanie Lechii” i skłócenie Pia-stów wzmogło niemiecką zaborczość, sta-nowiąc kolejną istotną przyczynę utra-ty Śląska i innych ziem nadodrzańskich. Państwo niemieckie, choć niebawem roz-drobnione „więcej w częściach swoich jeszcze stosownie do Polski potężnych, zagrażało przykrymi (...) zajazdy, odryw-kami, chciwością a niechęcią ku krwi słowiańskiej kierowanymi, użyło kraj rozzerwany”. Z jednej strony „margrabia brandenburski wdzierał się na ziemie polskie i grabił je”, z drugiej „przemój-ny i przebiegły sąsiad, Jan Luksembur-czyk, siedząc na tronie czeskim, nie przestawał w każdej chwili z tego (roz-zerwania, skłócenia — K.B.) korzystać, godzić, brać zastawy, wyludzać sprzeda-że, darowizny, nakłaniać do podstępów, często i grozą, do uznawania siebie za pana”. Był to więc czas, kiedy „cała Le-chia lekka się mogła, aby od Niemców ujarzmiona nie została”.

Inna, choć blisko z poprzednią związa-ną i również ważną przyczyną odpadnię-cia Śląska było, zdaniem Lelewela, wprowadzenie tutaj obcego prawa i ży-wiołu, zwłaszcza niemieckiego. Upatru-jąc prawa polskiego i tkwiące w nim możliwości pomyślnego rozwoju w urzą-dzeniach słowiańskich, poważnie zagro-żenie nie tylko dla polskiego prawa, ale wręcz dla polskości, widział w prawie zachodnim, przenikającym ku ziemiom polskim poprzez Niemcy. W procesie tym szczególną rolę przypisywał książę-tom. Książęta śląscy — pisał — „nie tylko ulowieni nadskakującym rodu ob-cego interesem”, ale również sami „chcąc Niemców zjednać, żeby się od ro-du swego nimi obwarować, zwabiali ich ku sobie, z nimi przemysł i handel ściąg-gali, dał nich po swych miastach prawa odmiennia”. Rzecz jasna: „...obdarzali miasta przywilejami i prawem teutoń-skim, czyli niemieckim”. Procesem tym, choć w mniejszym stopniu, obejmowane były również „wiejskie gminy”. Wpraw-dzie przez to — jak wyjaśniał Lelewel — „dogodne gospodarstwa i przemysłu

Wśród poruszanych zagadnień ważny jest problem rewindykacji, czyli odzyskania Śląska. O ile na utratę ziem śląskich, a także innych ziem zachod-nich czy też północnych — spoglądał Lelewel jako na fakt, które można było uniknąć, o tyle w sprawie rewindy-kacji dostrzegał — w skali kilku najbliż-szych wieków — malejące możliwości czy nawet „niepodebiństwo prawie od-zyskania utrat poniesionych”. Stwier-dzenie Lelewela, że właśnie w tych ko-lejnych wiekach mogli polscy w ziem-nych wschodnich „szukać jakoby wy-nagrodzenia za Śląsk, którego odzyski-wać już się lekali, za Pomorze i nad-odrzańskie kraje”, stanowi zapewne istotny przyczynek do wysuniętego tu zagadnienia.

Wśród dokonanych rewindykacyjnych Lelewel wskazywał zwłaszcza na przy-wrócenie Polsce Wschowy i ziem w-wschowskiej (1343), ziem oświęcimskiej (1434) i niebawem także zatorskiej — wykupionej ostatecznie przez Jana Ol-brachta w 1494 roku. To, co udało się odzyskać do końca XV wieku, oznaczało w istocie końcowy już etap i stan polskich rewindykacji w całym przed-lelewelowskim okresie.

W Polsce XVI a zwłaszcza XVII wie-ku pamięć o Śląsku wprawdzie słabła, ale nie zamarła. Było wciąż wiele ele-mentów wiążących, od czasów rządów Zygmunta Jagiellończyka na Śląsku, sprawowanych w latach 1499—1506 z ra-mienia starszego brata, Władysława, króla czeskiego i węgierskiego, poczy-nając. O rządach tych Lelewel pisał: „Nie było co mówić naprzeciw osobie Zygmunta, księstwo glogowskie było bliskim dla narodu świadkiem czynno-ci i dzielności w sprawowaniu rządów przez najmłodszego z Jagiellonów”. Fakt ten nie pociągnął jednak za sobą żadnych dokonanych rewindykacyjnych.

Należy podkreślić, iż Joachim Lelewel uznawał za sprawę najzupełniej o-czywistą i naturalną powrót ziem nad-odrzańskich — w tym Śląska — do od-rodzonej i zjednoczonej Polski.



W. Gombrowicz na scenie gorzowskiej

Zarzucał stawiane małym teatrom — przeciętność, brak aspiracji, repertuar pozbawiony ambicji — nie zawsze są w pełni uzasadnione. Istnieją teatry, które starają się zaprzeczyć krępującym opiniom. Do tych należy między innymi Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie, który tegoroczny sezon zainaugurował wystawieniem „Iwony, księżniczki Burgunda” Witolda Gombrowicza.

Witold Gombrowicz — postać, na der kontrowersyjna, poddawana dyskusjom próbującym dokonać swego rodzaju klasyfikacji osoby i twórczości. Jego dorobek od „Pamiętnika z okresu dojrzewania” poprzez „Ferdynandę”, „Ślub”, „Iwonę”, „Trans — Atlantyk”, „Dziennik”, „Pornografię” czy wreszcie „Kosmos” i „Operetkę” bardziej może dotyczyć spraw Polaków i ich kondycji psychointelektualnej, aniżeli utworów niektórych pisa-

rzy tworzących w kraju. Trzeba przyznać, że teatr ma spore zasługi (szcze-gólnie w ostatnim okresie) w adaptowa-niu dramatów tego emigranta pol-skiego z rodowodem outsidera. Tym czasem gorzowska scena sięgnęła po „Iwonę, księżniczkę Burgunda”, która została wystawiona w reżyserii Ryszarda Majora.

„Iwona...”, ogłoszona w 1935 r. po ukazaniu się nie wywołala szczególniego zainteresowania, pierwsze sukcesy przyniosła twórcy dopiero w dziesięć lat po jej wydaniu, wzbudzając aplauz w Paryżu i Sztokholmie. Wiele razy była też źródłem sporów, przypisywa-no jej przeróżne znaczenie, interpre-to wano często jako satyrę polityczną, utożsamiano Iwonę z Polską. Gombro-wicz prostując te opinie stwierdzał: „Iwona bardziej jest rodem z biologii niż z socjologii. Jest rodem z owego bezdroża, mojego, gdzie mnie dopad-ła nieograniczona dowolność kształtu, ludzkiego kształtu, jego rozciągłości i jego wyuzdania”.

Główna bohaterka — prosta, niepo-ciągająca dziewczyna staje na drodze życiowej księcia i wznica w nim bunt przeciw prawom natury, które pozwa-lają kochać mężczyźnie tylko atrakcyj-ne kobiety. Wprowadzona na dwór jako narzeczona księcia staje się czynnikiem rozkładowym. Jej niedoskonałość ana-tyczność, inność pobudza w każdym jego kroku najciężniejsze strony psy-chiki, wyciąga na wierzch uśpione grzechy. Wszystkie dewiacje doprowa-dzała dwór do wspólnego celu — Iwo-nę trzeba się pozbyć, trzeba ją z god-nością, „z wysoka” zabić.

Przedstawienie gorzowskie prowadziło niekonsekwentnie zaistniałoby w świadomości widzów jeszcze z większą siłą przekonania, gdyby nie zbyt nadmier-

na pieczołowitość reżysera wobec tekstu, który to zabieg w konsekwencji uczynił spektakl zbyt długim i powo-dował niekiedy reakcję znudzenia publicz-ności. W nakreślone przez reżysera ramy wychodzą aktorzy, którzy starają się swoje postacie z ich pragnieniami, namietnościami, dregoladą moralną uczynić przekonującymi. Są w tym spektaklu role przyciągające uwagę, są również i takie, które przechodzą nie zauważone. Postać Iwony zagrana przez Beatę Chorążykiewicz zabrzmiła tutaj inaczej niż w dotychczas prze-ze mnie oglądanych przedstawieniach tego dramatu. Nabrala ona swego jed-nostkowego, autonomicznego bytu, wzo-gaona została o poczucie własnej god-

ności. Zabieg, jakiego dokonał aktor-ka na postaci, spowodował, że z nie-smiałego, trwożliwego dziewczęcia emanowała świadomość pewnej niezale-żności, poczucia swej indywidualności w zuniformalizowanym świecie. Jed-ną z lepszych kreacji była także wy-różniająca się wdziękiem i inwencją postać Szambelana, zagrana przez Woj-ciecha Denekę. Jego charakterystycz-nym sposob gry, wzbogacony tempera-mentem aktora, pobudza widownię do autentycznego śmiechu. Do ról, które przyciągały uwagę swoją przemysłną konstrukcją oraz dojrzałymi środkami aktorskimi, należy także kreacja Ali-ny Horonin, jako królowej Małgorzaty, oraz Andrzeja Brysia, jako Cy-

ryla. Niewątpliwym sukcesem gorzow-skiej „Iwony...” jest scenografia zapro-jektowana przez Ewę i Wiesława Stre-bejko, która jest dopełniającym og-niwem konsekwentnej linii spektaklu. Jeżeli teatrowi gorzowskiemu w naj-bliższym sezonie uda się zrealizować przedstawienia w pełni profesjonalne jak ten, myślę, że wątpliwości, jakie mogą rodzić się po nie zawsze udanych przedsięwzięciach, z którymi widz sty-kał się, stana się bezzasadne. Mam na-dzieję, że najbliższy sezon zwerfikuje-je istniejące opinie i udowodni auten-tyczne wartości gorzowskiej dyrekcji i zespołu.

ALICJA JĘDRZEJCZAK



Wiesław Sokolowski, jako książę Filip i Beata Chorążykiewicz jako Iwona, księżniczka Burgunda na scenie gorzowskiej

W tym roku Oddział RSW w Zarach zorganizował inaugurację nowego roku kulturalno-oświatowego w Klubie w Chotkowie gm. Brzeźnica, dokąd przybyli gospodarze klubów z całego rejonu żarskiego. Obecni byli też m.in. sekretarz KG PZPR Michał Krawczuk oraz przedstawiciel Żarskiego Domu Kultury — Waldemar Dybański.

Po krótkim wystąpieniu dyrektora Oddziału RSW w Zarach Mirosława Olszńskiego, który omówił osiągnięcia klubów w minionym roku kulturalno-oświatowym i przedstawił zadania na rok bieżący, wręczono nagrody pieniężne wyróżniającym się gospodarzom. Otrzymał je: Genowefa Drzewiecka z Chich, Maria Kochanowska z Bieniowa, Stanisława Wilk z Żarek Wielkich, Wanda Dyszczyńska z Chwaliszewic, Dorota Szpynda z Przewozu, Stanisława Mytych z Nowej Jabłoni, Irena Chyziak z Brzeźnicy, Emilia Lazurek ze Starej Koperni, Alina Myślińska z Jankowej Zagajskiej, Maria Makarczyk z Bukowiny Bobrzańskiej oraz gospodyni tej imprezy — Irena Korpus z Chotkowa.

Po części oficjalnej, już przy czarnej kawie i cięście, upieczonym specjalnie na tę okazję przez członkinie społecznej rady klubu, nastąpiła wymiana doświadczeń i poglądów zmierzających do wypracowania lepszych form rozwijania działalności merytorycznej w pla-

cówkach RSW. Zaś w przerwach w dyskusji przygrywał zebrany zespół muzyczny pod kierunkiem Bogdana Antonika. Na zakończenie, imprezę uświetnił występ słynny w całej gminie brzeźnickiej, działający w Chotkowie kabelet amatorski „Przećiek”, którym od początku kieruje gospodyni klubu Irena Korpus i Mirosław Buganik.

Podchodzi do Michała Krawczuka, sekretarza KG PZPR Gminy Brzeźnica i zadaje retoryczne pytanie:

— Jak Wam się podoba tego rodzaju impreza zorganizowana w wiejskiej placówce kultury, a nie na przykład w Zarach?

— Impreza wypadła bardzo ładnie. Sądzę, że jeżeli w terenie znajdują się ludzie, którzy są w stanie wziąć na siebie obowiązki organizacyjne, to wszystkie inauguracje powinny odbywać się właśnie w klubach, i to każdego roku w innym. Chodzi mi tu przede wszystkim o możliwość zobaczenia przez gospodarzy innych placówek i poznanie ich dorobku. Klub w Chotkowie, bardzo dobrze działający, ma też pewne trudności. Nie ma tu ani centralnego ogrzewania, ani wody bieżącej. Projekt mamy już opracowany, ale w tym roku nie zdążymy już wykonać żadnych robót instalacyjnych. Myślę, że w przyszłym roku będzie tu już i c.o., i woda bieżąca.

Jan Dyszczyński, przewodniczący społecznej rady klubu z Chwaliszewic, przysłuchując się rozmowie, powiada: — My też chcielibyśmy mieć u siebie w przyszłym roku inaugurację nowego roku kulturalno-oświatowego. Mamny przecież duże pomieszczenia, jest także letnia sala widowiskowa. Tylko, że dojazd do nas trudniejszy.

— Jak pani widziałaby taką imprezę w swojej placówce — zwracam się do Marii Makarczyk, gospodyni klubu w Bukowinie Bobrzańskiej.

— Bardzo chętnie podejmemy się organizacji takiej imprezy. Mammy dużą salę widowiskową, doskonałą radę klubu oraz dobrą współpracę ze szkołą. Po dołamy organizacji bez większych kłopotów.

— Czy podjęłaby się pani jeszcze raz zorganizować w waszym klubie taką samą inaugurację? — pytam Elżbietę Skrzyżewską, kierowniczkę Filii Gminnej Biblioteki Publicznej w Brzeźnicy i jednocześnie sekretarza społecznej rady klubu.

— Naturalnie. To jest dużo lepsze niż w mieście. Tu ludzie znajdują się w takich samych warunkach jak u siebie, w klubach. Czują się lepiej i śmieiej wypowiadają.

I na zakończenie podchodzi jeszcze do gospodyni uroczystości Ireny Korpus.

— Napracowała się pani bardzo?

— O tak. Napracowała się nie tylko ja, ale i moi ludzie z kabaretu, zespołu muzycznego i społecznej rady klubu, z naszą kochaną babcią Stanisławą Ziemiańską, która doradzała, jak upiec smaczne ciasto.

ZENON CZARNECKI

Prenumerata „Nadodrza” PRZYPOMINAMY

Termin prenumeraty „Nadodrza” mija 10 listopada br. Oto warunki prenumeraty: Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach — siedzibach jednostek RSW „Prasa Książka Ruch” składają zamówienia w tych jednostkach. Instytucje i zakłady pracy znajdujące się na wsiach i w miastach poza siedzibami jednostek RSW składają zamówienia w urzędach pocztowych. Prenumeratorem indywidualni na wsi i w miastach składają zamówienia w placówkach pocztowych. Prenumeratorem indy-

idualni w miastach — siedzibach jednostek RSW składają zamówienia poprzez pocztę w tychże jednostkach. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwa RSW „Prasa-Książka-Ruch” ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceńców indywidualnych i 100 proc. dla zleceńców instytucji i zakładów pracy. Termin przyjmowania prenumeraty w kraju i za granicą do 10 listopada na I kwartał i I półrocze oraz rok następny, do I-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty — na rok bieżący. Cena roczna prenumeraty „Nadodrza” 312 zł.

Tu urodziła się MARIA DĄBROWSKA

W odległości niespełna 10 kilometrów od Kalisza, przy trasie samochodowej Kalisz — Konin leży wieś Russów, miejsce urodzenia wybitnej polskiej pisarki Marii Dąbrowskiej. Wśród ogromnych drzew starego parku, w otoczeniu srebrzystych świerków stoi zabytkowy dworek, w którym przyszła na świat autorka „Nocy i dni”. W tym domu pisarka przeżyła najpiękniejsze lata swojej młodości i tu powstały niektóre z jej utworów literackich. W czasie okupacji dworek został częściowo rozebrany i zdewastowany. W roku 1971 obiekt odbudowano ze środków Społecznego Funduszu Budowy Szkół i Internatów, utworzono w nim muzeum Marii Dąbrowskiej.

Oglądając to miejsce trudno oprzeć się wrażeniu, że to przecież Serbinów, tuż obok, opisany w powieści „Noc i dni”. Są nawet te same stawy, które pani Barbarze często spędzały sen z oczu, z obawy, że się jej dzieci w nich potopia. Jest też taka sama soczysta zieleń zasilana wilgocią stawów i dużo, dużo kwiatów. tak jak to było w czasach, gdy tu gospodarowała pani Barbara Niechcic.

Dworek jest parterowy, długi, ze stryżkiem, gdzie również znajdują się małe pokójki. Z wyglądu bardzo przypomina stare, modrzewiowe dworki szlacheckie.

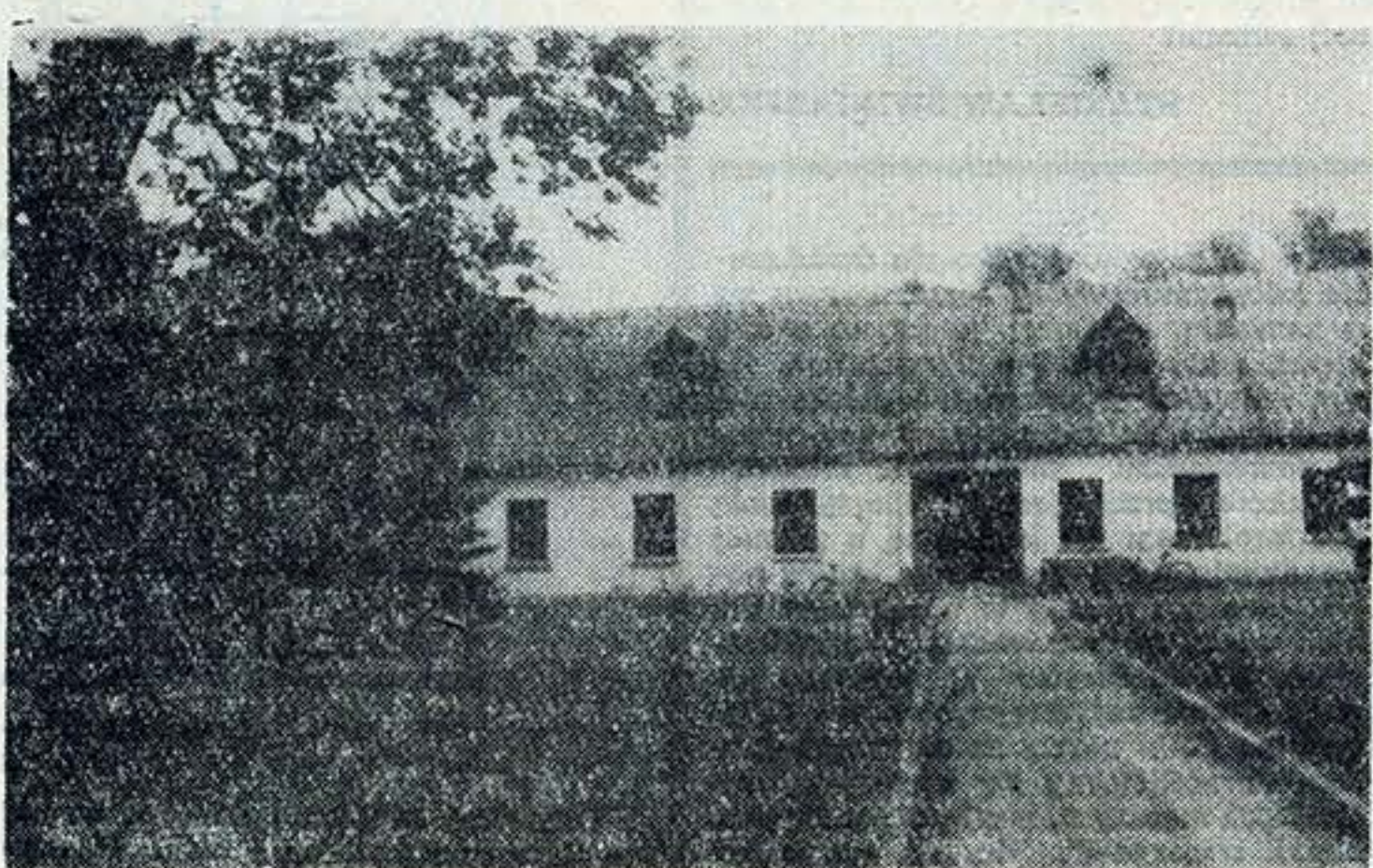
W trzech pomieszczeniach na parterze, przekształconych w salki muzealne, stoją stylowe meble z okresu młodości autorki „Ludzi stamtąd”. Meble te były ongiś prawdopodobnie sprzętami codziennego użytku pisarki. Jest też stary, zabytkowy piec kaflowy oraz piękny antyczny kurant, który przypuszczalnie przez wiele lat odmierzał pisarce czas pracy i życia.

W jednej z sal, w oszklonych gablotach, znajduje się stała ekspozycja twórczości literackiej Marii Dąbrowskiej wraz z licznymi przekładami jej utworów na języki obce.

Na stryżku, w dwóch małych salkach, zgromadzono również wiele cennych pamiątek. W jednej salce, w której autorka „Uśmiechu Dzieciństwa”

miała swój gabinet do pracy, znajduje się sekretaria z fotografiami rodzinnymi, listami do rodziny i przyjaciół oraz stół, a na nim maszyna do pisania z wkręconym skrawkiem papieru, na którym jest taki oto fragment zapisu: „Pociąg stał już, świecił i dyszał, jego czarne kształty rozpyływały się w sypliej, ostrej zawieli. Weszli do poczekalni, bo Bogumił kupował bilety, a pani Barbara szczykała z zimną zębami i powtarzała: — Jezus Maria, prędzej, prędzej, bo nie zdążymy...”

Sciany zawieszono zdjęciami, często połówkami ze starości. Na jednej z nich fotografie rodziców pisarki: Józefa Szumskiego i Ludmiły z Gałęzińskich-Szumskiej oraz fotografie rodzeństwa. Są też podobizny prototypów ważniejszych bohaterów z powieści „Noc i dni”, wśród których przeważają członkowie rodziny i najbliższych przyjaciół.



Fot. autor

W drugiej salce wyeksponowano maszynopisy utworów Marii Dąbrowskiej.

Na każdym kroku widać troskę o ocalenie od zapomnienia wszystkiego, co się zachowało po wielkiej pisarce. I chociaż współczesny Russów nie jest podobny do Russowa z lat jej młodości, to jednak każdy odwiedzający może zobaczyć tamtą epokę i tamten czas zatrzymany w kadrze oraz na licznych rycinach i obrazach, których w muzeum jest sporo. Nazwy niektórych okolicznych wsi porównujemy swojsko, chociaż w utworach autorka zmieniała ich nazwy. Ale są i autentyczne, jak chociażby Kurza, gdzie mieszkał zaprzyjaźniony z Niechcicem stary Żyd Szymaszel. A sam Kalisz, o którym autorka tak na-

piśała: „Jestem dzieckiem ziemi kaliskiej. Z jej okolic i z samego Kalisza czerpałam natchnienie do moich książek: „Uśmiech dzieciństwa”, „Ludzie stamtąd” i „Noc i dni”. Ta ziemia kształtowała moje poczucie estetyczne, styl i język całej mojej twórczości”

Jak bardzo pisarka była przywiązana do domu swojego urodzenia i swojej młodości świadczy inna jej wypowiedź: „Teraz jesteśmy tu i gdzieindziej i także jesteśmy szczęśliwi. Jest tak i tak i różnie. Ale cokolwiek jest kłóży zapomniat ciebie domie dzieciństwa”.

Dobrze się stało, że władze i społeczeństwo Ziemi Kaliskiej nie zapomniały o swojej wielkiej rodaczce, że odbudowano zniszczony dworek i utworzono w nim muzeum jej imienia. Niech po wielkim człowieku, oprócz jego twór-

czości, pozostanie jakiś chociażby najmniejszy nawet materialny ślad istnienia, bo na kulturę społeczeństwa składa się również umiejętność doceniania swoich wielkich współczesników.

Zalecam wszystkim tym, którzy znajdują się w Kaliszu lub jego okolicy, aby nie omijali Russowa. Szczególnie dla turystów zmotoryzowanych to żaden problem. Jest tam naprawdę sporo do zobaczenia, co znakomicie wzbogaci na szą wiedzę o nieprzeciętnym człowieku. Przeglądając księgę pamiątkową znajdującą się w Muzeum, z przyjemnością stwierdziłem, że jest w niej również kilka zapisów mieszkańców Zielonej Góry.

Z.CZ.

MYSLIBÓRZ. Od dziewięciu lat Myśl borski Ośrodek Kultury jest głównym organizatorem spotkań twórców i wykonawców piosenek amatorskiej. Imprezie patronują, m.in. Ministerstwo Kultury, Sztuki, ZAKR. W tym roku jury pod przewodnictwem Janusza Kondratowicza przesłuchało 30 wykonawców i przyznało nagrody. „Szczególne do kariery” otrzymali: Andrzej Szeszół z Miela — „Hebanowy”, Bogusław Dłuch z Gorlic, zespół „Ostatnia wieczerza w karczmie przeznaczona do rozbiórki” — „Dębowy”, Roman Romaniczuk z Wrocławia — „Sosnowy”. Organizatorzy imprezy uważają, że są w stanie najlepszym twórcom zapewnić mecenat firm płytowych i telewizji.

STRZELCE KRAJ. Strzelecko-Krajeński Dom Kultury i klub literacko-artystyczny „Silva rerum”, działający w ramach S-KDK, po raz drugi zorganizowali ogólnopolski konkurs poetycki o „Prawdziwe Dobiesława”. Jury, któremu przewodniczył Krzysztof Gąsiorowski — prezes warszawskiego Związku Oddziału Związku Literatów Polskich, pierwszą nagrodę i statuetkę przyznało Piotrowi Piotrowskiemu z Zielonej Góry, naszemu redakcyjnemu koledze. Wyróżnienia otrzymali: Stanisław Kałucki z Ostrołęki, Stanisław Ragin z Grudziądza i Jerzy Stasiak ze Szczecina. Ponadto jury przyznało nagrody specjalne: Ryszardowi Bibersztajnowi z Wrocławia za zestaw haiku i Grzegorzowi Kralińskiemu ze Strzelca Kraja za wiersz o Strzelcach Krajeńskich, które niedawno obchodziły swoje 700-lecie.

GORZÓW. Teatromani gorzowscy za najciekawszy spektakl ubiegłego sezonu na scenie Teatru im. Juliusza Osterwy uznali — „Krakowiaków i Górali” Wojciecha Bogusławskiego. Nagrody indywidualne otrzymali — Wojciech Deneka za rolę Łatki w „Dożywociu” Aleksandra Fredry i Mirosław Gawlicki za całokształt pracy aktorskiej. Ewa i Wiesław Strebejkowie otrzymali nagrodę gorzowskiego Towarzystwa Kultury Teatralnej za pracę scenograficzną dla Teatru im. J. Osterwy, ze szczególnym uwzględnieniem scenografii do „Tamerlana Wielkiego”.

* Dyskusyjny Klub Filmowy „Megaron” ma już 20 lat. Powstał z inicjatywy garstki miłośników dobrych filmów. Po wielu perturbacjach ze znalezieniem swojej siedziby, Klub pracuje w kinie peryferyjnym „Muza”. Od 1966 r. DKF „Megaron” należy do Polskiej Federacji DKF. Prócz prelekcji filmowych i dyskusji po seansach działacze Klubu organizują spotkania z twórcami filmów, krytykami, pisarzami. Sporadycznie odbywały się seminaria i cykliczne przeglądy filmowe, m.in. dorobku Marka Piwowońskiego, Bohdana Kosinińskiego, reżyserów węgierskich, „Przemiany reżyserii w kinie amerykańskim”, „Nowe kino zachodnioeuropejskie”. Z okazji jubileuszu DKF zorganizował seminarium pod hasłem „Skłócenie z życiem”, podczas którego wysłuchano wykładu dr Ewy Nagurskiej z Łódzkiej PWST FTiV oraz obejrzano wiele interesujących filmów („Strach na wróble”, „Zygfrid”, „Znikający punkt”).

GUBIN. Pochodzący z drugiej połowy XIV wieku ratusz w 1945 r. został poważnie uszkodzony. Jego remont trwał wiele lat. Na początku tego roku przekazano do użytku część ratusza, w której znalazła swoją siedzibę Miejska Biblioteka Publiczna. Niedawno w drugiej części uruchomiono Gubiński Dom Kultury. Placówka będzie służyła społeczeństwu miasta i gminy. Już działa wiele sekcji i zespołów, m.in. Teatr Dzieci Gubińskich, Klub Radiestów, odbywają się kursy języka niemieckiego, tańca. Z okazji przekazania ratusza, w Gubinie odbyła się Wojewódzka Inauguracja Roku Kulturalnego i Sezonu Artystycznego 1986/87.

BABIMOST. W wieku 81 lat zmarł Wacław Łakomy — wybitny instrumentalista ludowy, specjalista gry na koźle. W. Łakomy urodził się w Zakrzewku koło Nowego Tomyśla, na progranicy wielkopolsko-lubuskiej. Muzykowanie rozpoczął w 17 roku życia. Był działaczem Towarzystwa Miłośników Ziemi Babimojskiej, przewodniczył babimojskiej Ochotniczej Straży Pożarnej, należał do Stronnictwa Demokratycznego. Jako muzyk koncertował na wszystkich polskich festiwalach, zdobywając nagrody. Wykształcił wielu młodych instrumentalistów ludowych.

ZIELONA GÓRA. Koncertem symfonicznym w wykonaniu Państwowej Orkiestry z Cottbus zakończyły się Dni Kultury i Przyjaźni Okręgu Cottbus w województwie zielonogórskim. Orkiestra wykonała, m.in. Koncert fortepianowy e-moll Fryderyka Chopina. Zespołem dyrygował Gerhard Gregor, jako solistka wystąpiła Renate Scholer. Szerzej o Dniach na Ziemi Lubuskiej w następnym numerze.

GŁOGÓW. Placówki kulturalne Głogowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Nadodrza” nie są puste. Klub „Skorpion” na osiedlu Kopernika przekształcił się w centrum komputerowe. „Miedziak” na osiedlu Bolesława Chrobrego prowadzi kółko literackie, kabaret „Lepsi” i teatr dziecięcy. W „Azuryce” działa teatr pantomimy, zespół poezji śpiewanej „Sie” i piosenek turystycznych. Klub w centrum miasta przekształcił się w dom seniora. „Pegaz” zajmuje się popularyzacją jazzu. W podgłogowskiej wsi Grochowice, gdzie w latach sześćdziesiątych mieszkał Edward Stachura, co roku odbywają się dni poezji, teatru i plastyki. Organizatorem tych ostatnich imprez są placówki spółdzielcze i władze gminy Kotla.

LEGNICA. Blisko 100-tysięczne miasto ma tylko dwa kina — „Ognisko” i „Piast”. Przed kilku laty rozpoczęto remont kapitalny kina „Bólko”, ale w tym roku prace przerwano, gdyż zielonogórskiemu Okręgowemu Przedsiębiorstwu Rozwozu Przemysłu Filmów zabrakło pieniędzy. Przedsiębiorstwo zwróciło się o pomoc finansową do prezydenta Legnicy, odmówił, gdyż kina miejska jest pusta. Mieszkańcy osiedli Piekary i Kopernika od lat proszą władze miasta o to, by na ich osiedlach zbudować kina. Z powodu braku środków inwestycyjnych zadanie to odłożone jest w nieskończoność.

LAUREACI. Nagrodę Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL im. Bolesława Prusa otrzymała Regina Dachówna, dziennikarka „Gazety Lubuskiej”; Waldemar Mystkowski z Zielonej Góry wygrał turniej jednego wiersza podczas II Jesiennych Spotkań z Poezją i Prozą na zamku Książ pod Wałbrzychem, Kazimierz Jankowski z Gorzowa otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie literackim „Kultura i praca”, organizowanym przez poznańskie Wojewódzkie Porozumienie Związków Zawodowych. Gratulujemy.

ZAPROSILI NAS: Dyrekcja Międzynarodowych Targów Poznańskich na III Międzynarodowe Targi Drobnej Twórczości „Kooperacja '86”; dyrekcja i zespół Wrocławskiego Teatru Lalek na obchody 40-lecia Teatru; Klub „Przemko” w Strzelcach Kraja; na rozwiązanie II Konkursu Poetyckiego o „Prawdziwe Dobiesława”; Zagajski Pałac Kultury na festyn „Pancerni nie z serialu”; Polskie Towarzystwo Przyjaciół ONZ w Zielonej Górze na seminarium „Młodzież dla pokoju”; Lubuskie Towarzystwo Kultury na otwarcie wystawy prac plastycznych amatorów z Cottbus; Zarząd Wojewódzki ZSMP w Zielonej Górze na posiedzenie plenarne; Urząd Miejski w Gubinie na Wojewódzką Inaugurację Roku Działalności Kulturalnej i Sezonu Artystycznego 1986/87; Filharmonia Zielonogórska na koncert symfoniczny Państwowej Orkiestry z Cottbus; Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Trzeźwości Transportowców w Zielonej Górze na II Międzynarodową Olimpiadę Kierowców Polskiej Zachodniej; ZHP im. Janusza Korczaka w Zielonej Górze na swoje 25-lecie; Wojewódzki Komitet Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa w Zielonej Górze na sesję do Zagania. Dziękujemy.

nadodrza

**DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-
KULTURALNY
ORGAN LUBUSKIEGO
TOWARZYSTWA KULTURY**

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra pl. Bohaterów Stalingradu 13 I p. oraz adres dla korespondencji: 65-558 Zielona Góra skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 408-33, sekretarz redakcji 39-43 oraz centrala 46-61 do i łaczy telefon wewnętrzny: 408-3355.
Redaguje zespół: Halina Aśka-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.) Michał Horowicz, Janusz Konusz (red. naczelny) Małgorzata Kowalska Masłowska (stżyżystka), Zenon Łukasz

wicz (z-ca red. naczelny) Wiesław Nodzyński (sekretarz red.) Piotr Piotrowski, Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki, Korkuta, Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterów, sekretariat redakcji: Elżbieta Walaska, Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe al. Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 51 Centrala telefoniczna 46-61 do 67 Dyrektor: Zbigniew Plekiewicz tel. — 717-95
Druk: Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra ul. Reja 5 Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa Książka-Ruch” 65-042 Zielona Góra al. Niepodległości 25 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa Książka Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów tekstowych i fotografii nie zamawianych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamawianych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skróć i zmian tytułów.

I-13

Kierownik podchodzi do telefonu mały i pokorny, pod ciężarem popełnionych win, bo ktoś ich nie popełnia? Za chwilę zostanie „ochrzczony”, mo że „wylany”? W miarę trwania rozmowy twarz — na rozjaśnienie się, sylwetka prostuje. Oto po drucie telefonicznym spływa na niego laska! Zamiat naganą, za przewinięcia, przyznano mu nagrodę za zasługi...

Kiedy kładzie słuchawkę, jest już wielki. Z dumą spogląda na swoje po pierście i całkiem już pewny siebie przy stepuje do poszukiwania sposobu, formy, tematu — na program kabaretowy. Jest bowiem szefem kabaretu, na zrywa się Jan Tadeusz Stanisławski i na scenie uosabia siebie samego.

Mówi, że na świat patrzy zezem, ale z tego defektu uczynił cnotę. „Jedno oko zapuszczam za balkon, drugie w telewizor...”. Nazywa się także patrzy, zezem sterowanym. Jednak że świat widziany w taki krzywy sposób i składany z połówek nie zawsze do siebie pasujących, brzydki jest i smutny.

„Daje się zauważyć ogólny brak wstydu” — mówi ktoś, a ktoś inny proponuje: „Może by paczki wysyłać, jeden do drugiego?” Czasem trafia się pomysł na poprawienie sytuacji w gospodarce. „Jak to się stało, że dotychczas nikt na to nie wpadł?” — dziwi się niektórzy. „Jak to nie wpadł, przecież tytu siedzi!” „Za pomysły?” „Nie, za realizację!”

Z bajki o wielkoludzie. Rósł sobie wielkolud coraz wyżej i wyżej, a wszyscy podziwiali go, że taki jest wspaniały. Aż tu nagle: co się dzieje? Wielkolud zmalał! Bo u nas „co pewien czas jest gęsta i z wielkoluda robi się krasnala...”

„Z ludu powstał i do ludu wrócił” — błogosławieństwo dla prominentów. A skąd się wziął rzecznik prasowy rządu? Ponieważ w każdym rządzie musi być jeden łysy... Przepis kulinarny „Glizdę natrzeć majerankiem i naciągnąć tak żeby starczyła od pierwszego do pierwszego...”

Stanisławski znany jest telewizjom jako „profesor mniemanologii stosowanej” i autor paru krótkich filmów satyrycznych, wyśmiewających wady społeczne. Od niego też wzięło się powiedzonko „to byłoby na tyle” i rozpleńło się w mowie potocznej, nie wiadomo dlaczego, bo nie ma w tym ani sensu, ani dowcipu.

W programie zaprezentowanym w Zielonej Górze staraniem „Estrady” był sens i był dowcip. Wszystko razem jednak zamiast bawić, po prostu przerażało. To, co upowszechnia w swym kabarecie J.T. Stanisławski, jest „horrorem politycznym”. W przedstawieniu pomyslanym jako proces powstawania programu satyrycznego, roi się od aluzji antypaństwowych. Toteż widz dziwi się: czyżby Urząd Kontroli Prasy i Widowisk był aż tak tolerancyjny?

Śmiech na sali brzmiał rzadko. Nie rozweseliła widowni piosenka z refrenem, (podaje niedokładnie): „Dante nie wymyślił, Tuwim nie wymarzył, matematyk nie uściślił, z czym mi się to kojarzy...”. Chodziło o to, że ktoś, kto „pieprzy do mikrofonu”, kojarzy się autorowi z „częstąką męską”...

Nie rozśmieszył też sztandarowy utwór pt. „Dziękujemy ci, Albano” — dziękujemy, że istniejesz, bo dzięki temu jeszcze nie my, ale ty, Albano, jesteś na końcu...

Marek Kondrat, zawsze świetny zarówno w filmach jak i w teatrze, w tym nastroju smutnej kądziłości jak gdyby miał za mało do grania. Podobnie Wiktor Zborowski, nie mówiąc już o Irenie Karel... Kabaret Stanisławskiego jest autorski, wybija się więc na czoło autor i wykonawca w jednej osobie, niesympatyczny i zgrzyliwy, nierzadko stetryczający dziadek. „Chcecie programu dobrego i słusznego?” — pyta, a widownia odpowiada — tak. „No to go sobie zróbcie!” — woła Stanisławski.

Nie musimy nic robić. Życie samo jest kabaretem, już to ktoś przed nami powiedział. Z tym tylko, że ma ono mimo wszystko trochę więcej uśmiechu. Czarna satyra z podejrzanymi podtekstami po prostu się ludziom nie podoba.

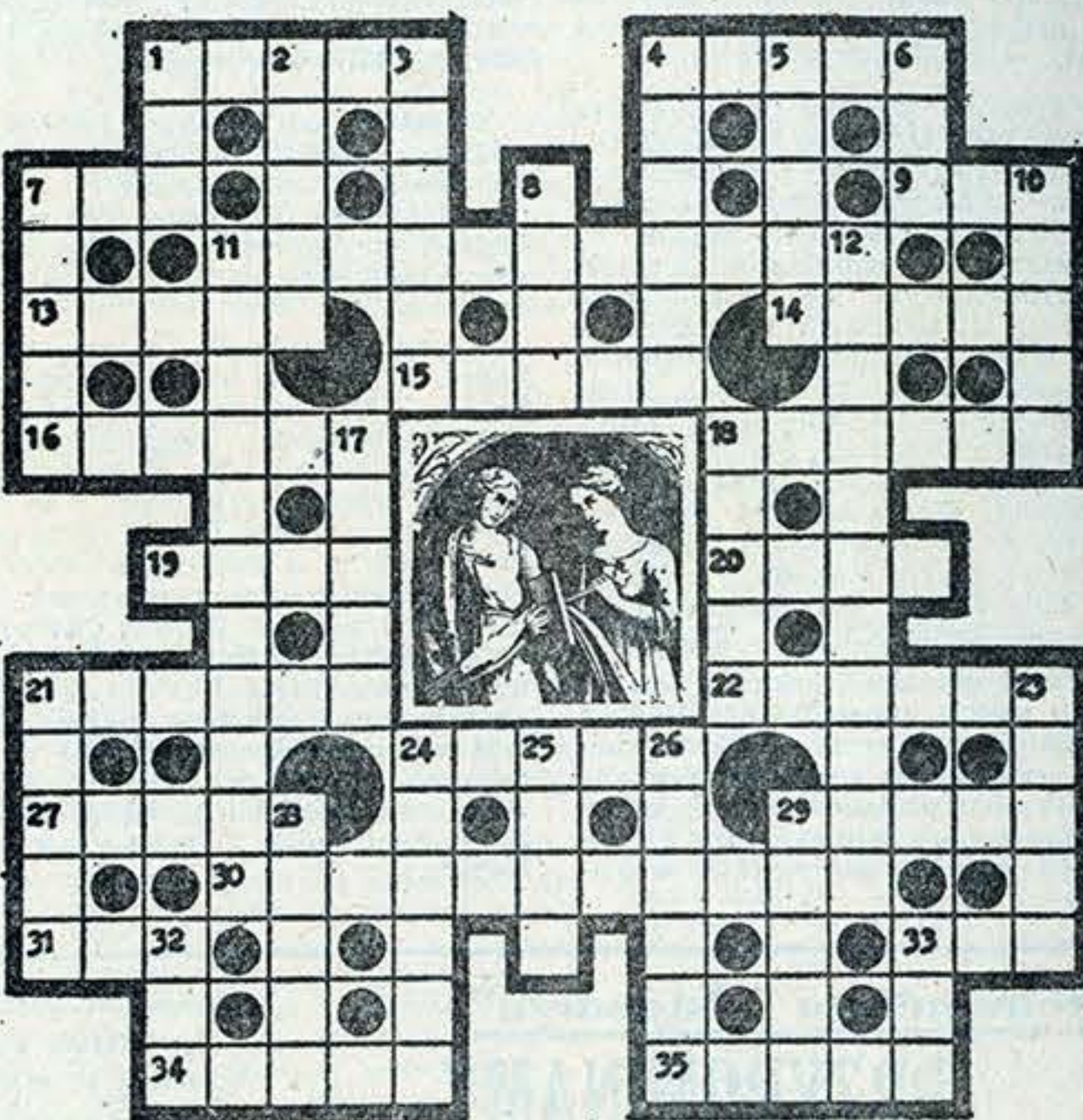
HALINA AŃSKA

PS.

W piątek 17 października br. około godz. 15.30 w sklepie masarniczym nr 68 przy ul. Westerplatte w Zielonej Górze działy się scenki kabaretowe, z udziałem co najmniej stu osób w różnym wieku i różnej pici, stłoczonych niemiłosiernie, bo akurat „rzucili” lepsze mięsa i wędliny, jak zawsze w niewielkich ilościach. W tym czasie od strony kulis — czyli — tylnymi drzwiami wyszedł sobie pan w średnim wieku dźwigając dwie, wypchane siatki. „Ładnie to tak kupować od tyłu?” — zapytała go pewna pani, ale udał, że nie słyszy. Wsiadł do białego poloneza ZGH — 2450 i odjechał.

HA

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów



KRZYŻÓWKA
(Oprac.: „STANGAR”)

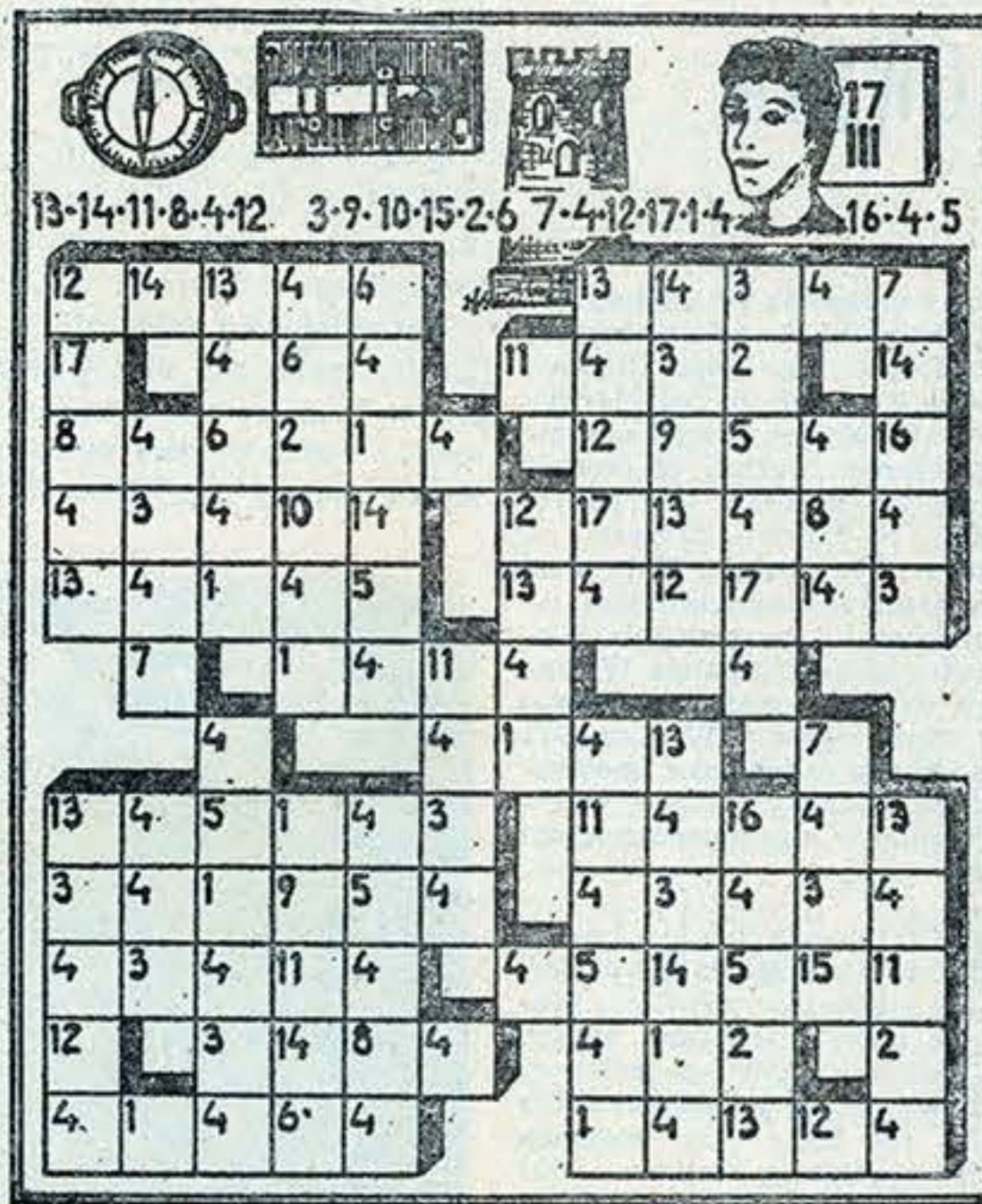
Poziomo: 1. Okruchy skalne, glazy, 4. Ciemnobraunatny barwnik, 7. Ptak drapieżny, 9. Las liściasty, 11. Ciężarówiec, dwukrotnie złoty medalista olimpijski, 13. Rodzaj ciastka, 14. Najwyższy wodospad (Wenezuela), 15. Awantura, sprzeczka, 16. Rzeką w Kamerunie, 18. Stopień pisma, 19. Masyw górski w Bułgarii, 20. Herb szlachecki, używany m.in. przez Dembińskich, Ostrowskich i Niemcewiczów, 21. Rola w operze, 22. Rodzaj spódnicy noszonej na Malajach, 24. A. 27. Parzysty narząd kręgowców, 29. Miasto nad Kanalem Gliwickim, 30. Piramidon, 31. Czeskie „tak”, 33. Dusiciel, 34. Dychawica, 35. Ptak wodny.

Pionowo: 1. Duchowny prawosławny, 2. Pierwiastek chem., 3. Kłębowski, 4. Ptak nadwodny, 5. Występ skalny, 6. Dawna nazwa Turku, 7. Srodek przeczyszczający z liści i strąków kasji, 8. Związek, 10. Zbiornik na zboże, 11. Scena bi-tewna na obrazie, 12. Przeciwnieństwo ekstrawersji, 17. Wulkan na Honsiu, 18. Część zbroi płytowej, 21. Gatunek sosny, 23. Zartobliwie o osobie wysokiej i chudej, 24. Siedlisko, 25. Pies pokojowy, 26. Zniwaga, 28. Wokół prezbiterium, 29. Dawna jednostka wagowa, 32. Druga żona Mieszka I, 33. Lilak.

KALAMBURY
(Oprac.: „CELESTIAL”)

Częsty przy głosowaniu warunek, to łacińskie pytanie o trunek.

Ostre bóle w stawach — przekaze zabawa.



ARYTMO — KRZYŻÓWKA
(Oprac.: „ZEM”)

Odgadnąć znaczenie czterech przedstawionych obrazków i wpisać je na miejsce przy każdym z nich. Następnie litery odgadniętych obrazków należy przenieść na miejsce liczb w diagramie i wpisać tak, by powstała zwykła krzyżówka, której wyrazy podać jako ostateczne rozwiązanie. Pamiętać należy, że jednakowym liczbom odpowiadają zawsze te same litery.

Rozwiązania zadań prosimy nadsyłać na adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Na kopercie prosimy nakleić zamieszczony poniżej kupon. Listy z trzema rozwiązaniami wezmą udział w losowaniu nagrody książkowej wartości ok. 300 zł; natomiast pozostałe nie wylosowane rozwiązania wezmą udział — razem z nadesłanymi dwoma rozwiązaniami — w losowaniu dwóch nagród książkowych po ok. 200 zł.

Rozwiązanie zadań z nr 20

Krzyżówka

Poziomo: kapitel, Logan, Usa, kowalik, teatr, iwa, liderka, Rouen, wnuk, grzywa, Lanark, Asti, numer, eks-laza, ser, Eliot, chelbia, woj, graba, amantka, Pionowo: kółko, powód, Tylor, Lukian, latarka, glazura, nartnik, itr, Ely, kwas, ulik, jinseng, zimnica, warstwa, nit, raz, ercja, sieja, ambit, Agada.

Karuzelowy kalambur wspakowy: aktor (karo-tka)

Rebus homonimowy: „Widzów wola — grać go!”

Nagrody książkowe wylosowali: p. Zygmunt Kruczyk, ul. Świętojańska 72, Gdynia 12 (za rozwiązanie trzech zadań) oraz p. Katarzyna Borowska, ul. Gwardii Ludowej 6/18, Zielona Góra i p. Irena Grzegorska, ul. Wróblewska 6/1, Nowa Sól. Gratulujemy.



POSTAWY

Marzyciele zmieniają świat?

Bardzo trudno zrozumieć postawę wielu młodych ludzi, nastolatków, dwu dziesiętlatków. Chcą żyć lepiej, dostatniej, ciekawiej. Nie zawsze jednak są w stanie w pełni swoje oczekiwania realizować. Warunkują to, owszem, również czynniki obiektywne, wynikające z aktualnej sytuacji państwa. Wśród rzeczy, w których musimy tym czasem zadowolić się skromnymi satysfakcjami, są i te, co dotyczą bezpośrednio dojrzewającego pokolenia Polaków. Wymienić można choćby mieszkania, służbę zdrowia, motoryzację.

Wiele niespełnionych marzeń, nadziei młodych zależy jednak od warunków subiektywnych, takich, których współtwórcami są czy mogą być, czy właściwie — powinni być — oni sami. Chłop czy dziewczęta już w szkole mają szansę znacząco współkształtować panującą w niej stonksini; przez działalność samorządową przez działalność w organizacjach uczniowskich.

Wiele rad pedagogicznych wręcz ociekają takiej inicjatywy, otwartej

współpracy. Dyrekcjom zorganizowana aktywność wychowanków jest wręcz niezbędna do prawidłowego rozpoznawania w porę źródeł konfliktów, problemów mogących wywierać niepożądany wpływ na funkcjonowanie społeczności szkolnej. Dialog pedagogów z aktywną młodzieżą przyczyniałby się również do osiągnięcia większej efektywności dydaktycznej, edukacyjnej. Nie wspominać tu szerzej o odciążeniu tym samym rodziców z pewnych funkcji opiekuńczych.

Podobnie sprawy się mają w zakładach pracy. Czy poprzez działania młodych nie udałoby się szybciej osiągnąć autentycznej gospodarności, poprawy warunków pracy i socjalnych?

A ile jest nie wykorzystanych szans kadrowych? Nie wiem, na co liczą ci młodzi którzy za swą dewizę przyjęli czekanie, trzymanie się z boku, wstręt do jakiejkolwiek legitymacji. Może liczą, że „starzy” — w domu i zakładzie pracy — wreszcie rozwiążą wszelkie problemy społeczne i ekonomiczne?

Przecież sukcesywnie dwudziesto-, trzydziestolatkowie muszą — od tego się nie uciekną — przejmować na siebie wiodącą rolę w naszej narodowej wspólnotcie, w naszym państwie, państwie socjalistycznym; a od nich samych zależy tylko, czy będzie ono bledne i opędzające się ciągle przed trudnościami, czy będzie dostatecznie, dobrze urządzone i szanowane w świecie.

Sprawowania władzy gdzieś się trzeba nauczyć. Znakomitą szkołą jest aktywna organizacja młodzieżowa, obecna w życiu społecznym, ekonomicznym, kulturalnym. Tu się odbywa trening współdziałania z innymi ludźmi, stąd wiedzie najprostszą drogą do obywatelskiej powagi i odpowiedzialności. Czy przeczekiwanie, demonstracyjne niekiedy, dąsanie się jest najlepszym sposobem na znalezienie sobie przez nas godnego miejsca w coraz lepiej zorganizowanym, ale i bezlitosnym raczej świecie?

STANISŁAW ŚWINIARSKI

MoRGinałki

DEMON DLA SZPROTAWY. Pod takim tytułem Piotr Kuncewicz opublikował kolejny (154) odcinek swojej opowieści o dziejach polskiej literatury („Przegląd Tygodniowy” nr 42). Tym razem autor pisze m.in. o Stanisławie Srokovskim z Wrocławia: Ze Srokovskim, o ile mi wiadomo, to tak było, że po pierwszych tomach przyszedł do niego Mefisto ofiarowując mu w perspektywie wielką karierę: może wiceprezesa oddziału ZLP, może rajcy w Szprotawie, a poza tym umiejętność przebywania w dowolnej ilości miast dolnośląskich równocześnie. W zamian Srokowski obiecał ukazywać świat absurdalny i diaboliczny, co czyni do dzisiaj. „Przy końcu swego szkicu Kuncewicz konkluduje: „Mefistofelesowi tran sakcja się udała, czy Srokovskiemu — nie wiem. Na razie o Szprotawie głucho.” Istotnie, demoniczny rajca Srokowski nie ujawnił się jeszcze w Szprotawie...

POSZUKIWANY PARNO GERLIŃSKI. Donieśliśmy w poprzednim numerze, iż Piotr Kuncewicz omawiając lubuskie środowisko literackie („Przegląd Tygodniowy” nr 40) wzbogacił je o cygańskie go poetę i nauczyciela, Parno Gerlińskiego. Ponieważ żaden z kronikarzy naszego środowiska nie odnotował tego twórcy, skontaktowaliśmy się telefonicznie z autorem szkicu, aby popro-

sić o materiały źródłowe. Niestety, Piotr Kuncewicz udzielił nam skąpej informacji: chodzi o poetę, związanego przez jakiś czas z Gorzowem i publikującego w prasie ludowej. Nic bliższego nie dowiedzieliśmy się. Wobec tego ogłaszamy apel: kto posiada szersze informacje o Cyganie — poecie i nauczycielu, proszony jest o kontakt z naszą redakcją.

RÓŻNE BARWY REALIZMU. W majowym zeszycie „Poezji” czytamy list znanego poety Jana Wyki, nawiązujący polemicznie do głośnej już publikacji Urbankowskiego „W rozdartym świecie”. Jan Wyka pisze m.in.: „Weźmy kilka kwestii szczegółowych. Atak na realizm socjalistyczny mija się z celem, ponieważ był to realizm krytyczny”. Nam realizm krytyczny kojarzy się raczej z epoką pozytywizmu, natomiast socrealizm był istotnie w swej części krytyczny, lecz przede wszystkim miał charakter aprobatywny wobec nowej rzeczywistości. Stosowany nagminnie schemat czarno-biały w charakterystyce wani postaci i wydarzeń nie przynosił wielkich sukcesów artystycznych, choć i w tym nurcie powstało kilka żywych do dziś dzieł.

PLEĆ I CHARAKTER. W stałym cyklu swych felietonów pt. „Pleć i charakter” Anna Błażucha kontynuuje wątek erotyczny („Rzeczywistość” nr 41): Nie-długie dojdzie do tego, że wyjąwszy Piekarską, nad którym sprawuje specjalny nadzór, zamykając go od czasu do czasu o głódzie i chłodzie w piwnicy, rozsądna i czuła na względy estetyczne kobieta nie będzie miała w kim bujać się w naszym kraju. Pragnę więc wszystkim mężczyznom przypomnieć zdanie zasłyszane od pewnego sympatycznego pułkownika, który sam licząc

ni mniej, ni więcej tylko sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi, wyznał mi w zaufaniu: — Dobry kogut, to chudy kogut, pani Aniu. — Tymczasem jeden rzut oka na przeciętną polską ulicę dowodzi, że mężczyźni u nas, może z pominięciem niektórych młodzieńskich uprawiających sporty, wolą być kapłanami niż kogutami, a później się dziwią, że z przyczyny braku ruchu mrą jak muchy w najlepszym dla nich wieku od trzydziestu, do pięćdziesięciu lat. Mężczyźni z nadwagą nie mają u mnie najmniejszych szans. Gdyby inne Polki poszły za moim przykładem dorobiliśmy się może przystojniejszych mężczyzn, wyzbywając się przy okazji straszdeł”. No cóż, nie każdy ma swojego pokornego Piętaszka...

PROG. Ewa Starosta, omawiając powieść Jerzego Łukosza pt. „Dziedzictwo” („Fakty” nr 42), cytując odautorski komentarz: „...moje opowiadania są z prawdziwego dziecinstwa. Niepokoi mnie, że to może jedyna moja prawdziwość, z której potrafi wynikać proza. Od czasu, kiedy miałem dziesięć lat, nie istotnego — moim życiu po prostu się nie zdarzyło i „zmienić tematu” pewnie bym nie umiał. Szkoda, nigdy nie wypowiem się trybem prozaicznym w ważnych sprawach epoki i społeczeństwa...”. Ta kokieteria znanego recenzenta i debiutanta w prozie artystycznej, jest doprawdy rozczulająca. Dlatego zapewne tak spodobało się to p. autorce z „Faktów”.

SKROMNOSC? W rozmowie z Michałem Kabatą prozaik Józef Łosiński (TVP dn. 19.X) wyznał: „Mając 40 lat wiem, że niewiele wniosę do literatury polskiej...”. Ho, ho! Czerdziście lat i już staruszek!